

H HARLEQUIN[®]
TM

Medical[®]

Tina
Beckett
Trudna decyzja



TINA BECKETT

TRUDNA DECYZJA

Tytuł oryginalny: Her Hard to Resist Husband

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tracy Hinton, ty nie mdlejesz.

Gdy w jej nozdrza uderzył zapach śmierci, poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, ale sporym wysiłkiem woli zapanowała nad tym odruchem.

Miarowe oddychanie, by się uspokoić, nie wchodziło w rachubę, bo w tych okolicznościach nie miała najmniejszej ochoty oddychać.

– Ile? – zapytała, zasłaniając nos i usta maską.

– Na razie sześć zgonów, ale choruje większość mieszkańców miasteczka. – Pedro, jeden z pracowników jej kliniki objazdowej, wskazał na pobliski domek z glinianej cegły, gdzie na progu leżała nieruchoma skulona postać. Kilka metrów dalej, na ziemi, drugie zwłoki. – Nie żyją od kilku dni. Cokolwiek to było, zabiło ich błyskawicznie. Nawet nie próbowali dostać się do szpitala.

– Pewnie byli zbyt chorzy. Poza tym najbliższy szpital jest oddalony o prawie trzydzieści kilometrów.

Piaui, jeden z najbiedniejszych stanów Brazylii, jest zdecydowanie bardziej narażony na śmiertelne infekcje niż regiony zamożne. Mieszkańcy tutejszych miasteczek i wiosek przemieszczają się rowerami lub idą na piechotę. Pokonanie takiej odległości stanowi niełatwe wyzwanie dla osób młodych i zdrowych, a co dopiero dla starszych i chorych. Samochód dla większości jest niedostępny.

Żeby poznać przyczynę śmierci tych ludzi, Tracy musiała najpierw obejrzeć ciała oraz pobrać odpowiednie próbki. São João dos Rios od najbliższego szpitala diagnostycznego stanu Piaui dzieliło ponad sto kilometrów. Tak czy owak, trzeba zawiadomić stosowne władze o możliwości wybuchu epidemii.

A to oznacza spotkanie z Benem.

– Myślisz, że to denga? – zapytał Pedro.

– Nie tym razem. Tamten mężczyzna ma plamę krwi na przodzie koszuli, innych oznak stąd nie widzę. – Spojrzała na prymitywną zagrodę, w której kilkanaście świń głośno domagało się jedzenia. – Podejrzewam krętkowicę.

Pedro ściągnął brwi.

– Krętkowica? Pora deszczowa już się skończyła – stwierdził zdziwiony.

Ziemia wokół domku wyglądała jak suche spękane klepisko. Z powodu upału w powietrzu nie było ani odrobiny wilgoci, przez co Tracy mdliło coraz bardziej. W porze suchej temperatura w tym regionie leżącym blisko równika rzadko spada poniżej trzydziestu stopni, stopniowo rosnąc aż do nadejścia pory deszczowej.

– Hodują świnie. – Odgarnęła z czoła mokre włosy.

– Widzę, ale krętkowice normalnie nie objawiają się krwawieniem.

– W Bahia krwawienie jednak wystąpiło.

– To prawda. Sądzisz, że to odmiana atakująca płuca? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie wiem, być może.

– Pobierzesz próbki czy najpierw zajrzysz do jeszcze jednego domu?

Wyjęła z kieszeni komórkę i z nadzieją zerknęła na wyświetlacz. Zero zasięgu. To, co działa w São Paulo, tutaj się nie sprawdza.

– Masz zasięg? – zwróciła się do kolegi.

– Nie.

Westchnęła, zastanawiając się, co robić.

– Próbkę muszę poczekać, aż wrócimy, bo wolę nie ryzykować zakażenia żyjących. Może złapiemy zasięg, jak wejdziemy wyżej.

Benjamin Almeida ślęczał nad mikroskopem, ustawiając ostrość tak, by różowa plamka stała się wyraźna. Bakteria Gram-ujemna. Wpisał wynik do komputera.

– Ben...? – W drzwiach stanęła jego asystentka.

Uniósł dłoń, czekając, aż komputer przekaże tę informację lekarzowi w regionalnym instytucie chorób tropikalnych. Jego gabinet znajdował się piętnaście kroków od głównego budynku szpitala, ale Ben nie miał czasu tam pójść. Ściągnął lateksowe rękawiczki, po czym starannie umył ręce.

– Tak, o co chodzi? – zapytał zmęczonym tonem. Jego dyżur trwał już dwanaście godzin, a zostały mu do opisania jeszcze dwa preparaty.

– Ktoś do ciebie. – Mandy cofnęła się od drzwi.

– Jeżeli to doktor Mendoza, to go poinformuj, że raport już wysłałem. To infekcja bakteryjna, a nie pasożyt.

Gdy obok Mandy stanęła kobieta, zatkało go. Zmusił się, by nie rzucić się jej na powitanie. Kruczoczarne włosy spięte klamrą, wydatne kości policzkowe, długa szyja. I te zielone oczy, teraz odważnie wpatrzone w niego.

Co ona tu robi?!

Kobieta poprawiła pasek torby termoizolacyjnej.

– Ben, potrzebuję twojej pomocy.

Zacisnęła zęby. Niemal to samo powiedziała cztery lata wcześniej. Chwilę przed tym, jak zniknęła z jego życia.

– W jakiej sprawie?

– Coś złego dzieje się w São João dos Rios. – Klepnęła torbę. – Mam tu próbki, które musisz obejrzeć. Im prędy, tym lepiej, bo chcę się dowiedzieć, dlaczego ci ludzie tak nagle...

– Spokojnie. Nie wiem, o czym mówisz.

– W São João dos Rios wybuchła epidemia. Zmarło sześć osób. Żandarmeria wojskowa już tam się zjawia z zamiarem zamknięcia miasteczka. – Uniosła dłoń. – Nie przyjechałabym tu, gdyby to nie było ważne.

Nie wątpił, że to prawda. Ostatni raz widział ją, jak opuszczała ich dom, by już do niego nie wrócić.

Nie powinno go dziwić, że Tracy nadal przemierza Brazylię, tłumiąc zakaźne pożogi. Nic nie mogło jej powstrzymać, nawet on. Nawet nie myśl o wspólnym domu i założeniu rodziny.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi sięgnął po rękawiczki.

– Przyda mi się respirator?

– Raczej nie. Do pobierania próbek założyliśmy maski.

Podał jej maskę zadowolony, że nie będzie musiał patrzeć na jej ponętne wargi, które tyle razy całował. Przeniósł wzrok na jej oczy, klnąc w duchu, bo ich zieleń pomimo upływu czasu znowu przyprowadziła go o przyspieszone bicie serca.

– Objawy? – wykrztusił.

– Wygląda to na krwotok płucny, możliwe że z powodu któregoś rodzaju zapalenia płuc. – Podawała mu torbę. – Niestety ciała zostały już spalone.

– Bez sekcji zwłok?

– Żołnierze pozwolili mi pobrać próbki, potem zabrali ciała. Próbkę pobrali też wysłannicy władz, żeby przeprowadzić własne badania. Muszę mieć oficjalne potwierdzenie, że jak skończysz, wszystko zostało zniszczone. – Zniżyła głos. – W recepcji siedzi goryl, którego zadaniem jest dopilnować, że ten rozkaz został wykonany. Pomóż mi. Jesteś najlepszym

epidemiologiem w tym regionie.

Spojrzał w stronę drzwi i dopiero teraz w drugim pokoju pod ścianą zauważył żandarma.

– Kiedyś nie było to moim największym atutem – mruknął.

Doskonale pamiętał ich częste kłótnie, co jest ważniejsze: prawa jednostki czy dobro publiczne.

Speszona przygryzła wargę.

– Bo za moimi plecami wykorzystywałeś swoją pracę jako broń przeciwko mnie.

Asystentka Bena, założywszy maseczkę, stanęła przy nim, nerwowo spoglądając na żandarma. Jej znajomość angielskiego była znikoma, więc Ben nie był pewien, co zrozumiała z tej wymiany zdań.

– Czy on nas stąd wypuści? – zapytała po portugalsku.

– Jeżeli się okaże, że to zwyczajne zapalenie płuc, nie będzie problemu – odparła Tracy.

– A jak coś innego?

Ben zacisnął zęby na myśl, że przyjdzie mu nie wiadomo ile czasu spędzić w ciasnym pomieszczeniu.

Z Tracy. W szafie trzymał składane łóżko, ale bardzo wąskie. Na pewno nie dla...

– Jak coś innego, to być może na jakiś czas tu utkniemy. – Podeszedł do drzwi, po czym zwrócił się do żandarma. – Próbek jeszcze nie otworzyliśmy. Moja asystentka ma rodzinę, więc chciałbym, żeby mogła stąd wyjść, zanim zaczniemy.

Właśnie z tego powodu uparł się, by jego laboratorium znalazło się w odrębnym budynku. Było tak małe, że w przypadku epidemii można je było szczelnie zamknąć, a wyniki testów mikrobiologicznych wysyłać drogą elektroniczną.

Jego priorytetem zawsze było bezpieczeństwo. Mandy zdawała sobie sprawę, jakie ryzyko łączy się z pracą u doktora Almeidy, ale do tej pory nic jej nie zagrażało. Inaczej niż gdy cztery lata wcześniej Tracy rzuciła się w wir walki z epidemią żółtej febry, zmuszając go do wezwania wojska.

Żandarm chwilę się zastanawiał, po czym odwrócił się do nich tyłem i połączył z kimś przez radiotelefon. Zakończywszy rozmowę, zwrócił się do Bena:

– Ktoś z naszych odwiezie ją do domu, ale i tak musi tu zostać, dopóki nie dowiemy się, co to za choroba. Wy dwoje... – wskazał na Bena i Tracy – od chwili otwarcia fiolek zostanieie w tym budynku, aż wojskowi oszacują zagrożenie.

Mandy rzuciła Benowi przerażone spojrzenie.

– Jesteś pewien, że nic mi się nie stanie, jak stąd wyjdę? Moje dziecko... – Zacisnęła powieki. – Muszę zadzwonić do męża.

– Niech Sergio na wszelki wypadek zabierze małą do domu twojej mamy, tam będzie bezpieczna – poradził jej Ben. – Zawiadomię cię, jak coś będę wiedział, okej?

Mandy wyszła, by zatelefonować do domu.

– Tak mi przykro – szepnęła Tracy. – Myślałam, że będziesz sam. Nie wiedziałam, że masz asystentkę.

– To nie twoja wina. Mandy niepokoi ryzyko zagrażające dziecku. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Jak każdą matkę.

Pożałował tych słów, ujrawszy, jak w oczach Tracy w miejsce współczucia pojawia się gniew.

– Ja też się niepokoiłam – syknęła – ale tobie to nie wystarczało, prawda? – Oddychała głęboko. – Wracam do São João dos Rios, jak tylko dasz mi odpowiedź. Jeżeli obejmie mnie kwarantanna, dalej będę to robić tam, gdzie coś można zmienić. Na pewno nie będę siedzieć w laboratorium przed rzędami fiolek.

Trafił w jej czuły punkt, a mimo to nie wyzbył się dawnej urazy.

– I mówi to kobieta, która przychodzi do mnie z prośbą o pomoc – rzekł półgłosem.

– Nie taki miałam zamiar.

– Owszem, taki.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy, aż Tracy zsunęła z twarzy maskę.

– Okej... może trochę. Ale też powiedziałam, że cię potrzebuję. To też się liczy.

To prawda, ale to nie to samo, co łączyło ich dawniej. To już historia. Wtedy bardzo starał się ją powstrzymywać, ale coraz bardziej się oddalała, aż już nic nie mogło zasypać dzielącej ich przepaści.

Roztkliwianie się nad przeszłością nic ci nie da.

Postawił torbę Tracy na stalowym blacie, gestem głowy wskazując jej aluminiowy dyspenser z rękawiczkami.

– Włóż je i lepiej niczego nie dotykaj.

– Mam swoje. – Sięgnęła do torby.

Jasne. Cała Tracy. Kobieta, która nigdy nie spocznie, nigdy nie ma wolnych weekendów. Rzuciła się w wir pracy bez opamiętania... aż nic dla niej nie zostało.

Ani dla niego. Myślał wtedy, że gdy wskaźnik próby ciężowej zmieni się z niebieskiego na różowy, Tracy wyhamuje. Nie wyhamowała. A on wykluczał możliwość, by jego dziecko przechodziło to samo co on w dzieciństwie.

Z zaciśniętymi zębami rozejrzał się po laboratorium. Będą zmuszeni pracować w ciasnym oszklonym boksie w rogu pomieszczenia przygotowanego na takie sytuacje.

Odizolowanie próbek Tracy od środowiska, w którym pracował na co dzień, było absolutnie konieczne. Gdyby nie zachowali ostrożności, władze mogłyby objąć kwarantanną całe laboratorium, a to by oznaczało wrzucenie jego wieloletniego dorobku do spalarni. Ale gdyby miało się okazać, że jest to mikroorganizm przenoszony drogą kropelkową, sam by wszystko spalił, by nie ryzykować rozpętania epidemii.

Nawet dla Tracy. A to już powinno do niej dotrzeć.

– Mam tu sterylny boks. Jak tylko wyjaśni się sprawa z Mandy, możemy zaczynać.

Tracy zerknęła na korytarz, gdzie rozmowa asystentki z małżonkiem stawała się coraz bardziej emocjonalna.

– Jestem pewien, że nic złego się stanie – odezwał się Ben. – Przeniosę twoją torbę do boksu. Zdezynfekujesz stół tam, gdzie stała?

Ledwie uniósł torbę, wkroczył żandarm z ręką na kolbie karabinu.

– Gdzie pan to niesie?

Ben wskazał na oszklony boks.

– Dopóki próbki są zamknięte, nikogo nie zarażą. Z recepcji będziecie widzieli wszystko, co robimy. Chociaż lepiej by było, żebyście stali jak najdalej.

Żandarm cofnął się o kilka kroków.

– Ile to potrwa? Nie chcę tu siedzieć dłużej niż to konieczne.

– Nie wiem. To zależy, z czym mamy do czynienia.

Wstawił torbę do boks, po czym na metalowych półkach nad stołem ze stali nierdzewnej ustawił potrzebny sprzęt. Odetchnął głęboko. Jak oboje się tu zamkną, nie będzie czym oddychać. Mógłby zaproponować Tracy, by wyjechała, zanim on otrzyma wyniki, ale przeczuwał jej reakcję.

Żaden wybieg ani żadna siła nie zmusi Tracy, gdy się uprze. Doświadczył tego na własnej skórze.

Gdy włączył filtr powietrza i zamknął drzwi do boks, w drzwiach recepcji stanęła Mandy.

– Załatwione – oznajmiła. – Sergio zadzwonił do mamy, żeby zapytać, czy weźmie małą na

noc. Nie jest zachwycony, że nie może iść do pracy ani że ja tu jestem.

– Wcale mu się nie dziwię, ale ma to też dobrą stronę. Możesz pojechać do domu. –
Uśmiechnął się. – Uświadom mu, jakim jest szczęściarzem, że mu ciebie nie sprzątnąłem sprzed nosa.

– Sam już mu to mówiłeś. – Mandy się roześmiała. – I to nieraz.

Tracy odwróciła się na pięcie i zaczęła energicznie szorować blat, który wcześniej zdezynfekowała.

– Żandarm cię odwiezie? – zapytał sztucznie swobodnym tonem.

– Oddelegują innego. Niedługo ma tu być.

– Okej. – Poleciał Mandy, by czekała w recepcji, aby nikt nie miał wątpliwości, że trzymała się z daleka od próbek. Wrócił do boksu, by wstawić torbę do lodówki.

W pomieszczeniu już zaczynało robić się duszno, ale nieraz pracował w gorszych warunkach. Podobnie Tracy. Przypomniawszy mu się jeden taki dzień, ich pierwsze spotkanie. Tracy zeszła z pokładu statku medycznego Projeto Vida i jak burza wpadła do wioski, w której prowadził badania, domagając się, by powiedział, co zrobił w sprawie wybuchu epidemii malarii w miejscowości oddalonej o trzydzieści kilometrów. Podpierał się nosem, za to ona z rozwianymi czarnymi włosami prezentowała się jak anioł zemsty gotowy go zabić, jeżeli powie jedno niewłaściwe słowo.

Dwa dni później wylądowali w łóżku.

Lepiej by teraz o tym zapomniał, tym bardziej że starał się unikać kontaktu fizycznego. Ona może jest na to odporna, ale nie on. Dowodem może być to, jak przyspieszyło jego serce, gdy zobaczył ją w drzwiach laboratorium.

Tracy wrzuciła papierowy ręcznik do pojemnika na odpady zakaźne, po czym podeszła do Bena.

– Dziękuję, że zgodziłeś się pomóc. Miałeś prawo odprawić mnie z kwitkiem. –
Uśmiechnęła się gorzko. – Nie miałabym ci tego za złe.

– Nie zawsze jestem potworem.

– Wiem. I przepraszam, że cię w to wciągają, ale nie wiem, do kogo innego mogłabym się zgłosić. Wojsko nie zgadzało się, żebym wywiozła próbki z São João dos Rios. Wydali mi pozwolenie tylko dlatego, że kiedyś już dla nich pracowałeś. Mimo to przywieźli mnie tu pod strażą.

– Tracy, w porządku. – Miał ochotę pogłodzić ją po policzku, ale się powstrzymał. – Zapewne słusznie chcą mieć sytuację pod kontrolą. Gdybym uznał, że doszło do skażenia, to pierwszy bym powiedział, że Mandy musi zostać z nami. – Uśmiechnął się. – O ile cię jednak znam, na tej torbie nie przeżył ani jeden mikroorganizm, zanim wywiozłaś ją z São João dos Rios.

– Mam nadzieję. Ale tam są chorzy, którzy czekają na odpowiedź. Zostawiłam w wiosce kolegę, który ma dopilnować, żeby wojsko nie działało pochopnie, z tym że on nie jest lekarzem. Jego zdrowia też nie chcę ryzykować. Ci ludzie potrzebują pomocy, a nie mogę nic zrobić, dopóki się nie dowiem, z czym mam do czynienia.

Potem ruszy dalej gasić inne pożary. Jak zawsze.

– Wobec tego bierzmy się do roboty – powiedział bez cienia uśmiechu.

Do laboratorium zajrzał żandarm.

– Ktoś przyjedzie po waszą koleżankę. Będą pilnowali, żeby nie wychodziła z domu, dopóki nie minie zagrożenie.

Ben kiwnął głową.

– Rozumiem. Dziękuję.

Gdy podszedł do drzwi, by pożegnać Mandy, ta zarzuciła mu ręce na szyję i mocno

przytuliła.

– Nie masz pojęcia, jaka jestem ci wdzięczna. To okropne, że nie będę mogła dzisiaj ukołysać do snu Jenny, ale przynajmniej będę bliżej, niż gdybym została tutaj.

Serce mu się ścisnęło. Oto kobieta, dla której dziecko jest całym światem, która nie musi latać na drugą półkulę w poszukiwaniu spełnienia.

W przeciwieństwie do Tracy.

– Zrobimy to jak najszybciej. A jak sytuacja wróci do normy, ucałuj ją od wujka Bena.

– Oczywiście. – Mandy palcem starła mu szminkę z policzka. – Bądźcie ostrożni. Sama ledwie co oswoiłam się z twoim podejściem do pracy i nie chcę, żeby ktoś inny tego się uczył.

Śmiejąc się, Ben ściągnął rękawiczkę, by położyć asystentce rękę na ramieniu.

– Tak łatwo się ode mnie nie uwolnisz, więc ciesz się tymi krótkimi wakacjami, bo ani się obejrzysz, a znowu znajdziesz się w kieracie.

Gdy Mandy odjechała pod wojskową eskortą, odwrócił się i zauważył, że Tracy mu się przygląda.

– O co chodzi?

Wzruszyła ramionami.

– O nic. Dziwię się, że nie znalazłeś sobie kobiety, która byłaby zachwycona, mogąc siedzieć w domu i wychowywać dzieci. Mówiłeś kiedyś, że bardzo byś chciał mieć całą gromadkę.

– W tych okolicznościach to niemożliwe.

– O! – Uniosła brwi. – A to dlaczego?

– Musisz o to pytać? – Ponuro się roześmiał.

– Właśnie to zrobiłam.

Chwycił jej dłoń, by pod lateksem rękawiczki pokazać jej zarys złotej obrączki.

– Z tego powodu. – Patrzył jej w oczy. – Zapomniałaś? Chociaż już nie posługujesz się nazwiskiem męża, w oczach prawa... dalej jesteśmy mężem i żoną.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niczego nie zapomniała.

Próbowała załatwić formalności związane z rozwodem, ale utrudniały jej to ciągle wyjazdy na inne kontynenty. Dwóch brazylijskich adwokatów, z którymi się skontaktowała, twierdziło, że jako obywatelka USA powinna wrócić do Stanów i tam wystąpić o rozwód, ponieważ ślub wzięli w Nowym Jorku.

Poproszenie Bena, by jej towarzyszył, nie wchodziło w grę. Nawet gdyby Ben był skłonny, ona tego nie chciała. Nie miała ochoty go oglądać, by nie rozgrzebywać tego wszystkiego, co wydarzyło się, zanim opuściła Teresinę, stolicę stanu Piauí, oraz jego. Na zawsze.

Niewystępowanie o rozwód zapewne nie było mądrym krokiem, ale od razu rzuciła się w wir pracy, cały swój czas poświęcając Projeto Vida, statkowi medycznemu organizacji pomocowej. Poza tym obrączka ślubna odstraszała niechcianych adoratorów. Nie było ich wielu. Być może zniechęcał ich także jej nieskrywany dystans. Nie miała zamiaru ponownie wychodzić za mąż, więc obrączka oraz akt ślubu pomagały jej trwać w tym postanowieniu.

Szkoda, że zapomniała ją zdjąć przed wizytą u Bena. Nagle sobie uprzytomniła, że Ben czeka na odpowiedź.

– Nie jesteśmy małżeństwem. – Wysoko uniosła głowę. – Sam się o to postarałeś.

– Racja. – Przenosił kolejne elementy aparatury.

Bezwiednie tarła obrączkę. Ten gest pomagał jej w trudnych sytuacjach, jak na przykład ta. Dziwne, że najczęściej miała wtedy na rękach lateksowe rękawiczki.

Obserwując krzątanie Bena, dostrzegła pasemka siwizny w jego ciemnych włosach.

Otrząsnęła się. On ma trzydzieści osiem lat, a nie widziała go od czterech. Musiał się zmienić, ale jedno pozostało takie samo: jasnoniebieskie oczy po matce Amerykance. Podkreślały jego oliwkową karnację, wydatne kości policzkowe i prosty nos, cechy odziedziczone po ojcu Brazylijczyku.

Nie zmalała też jego umiejętność absolutnej koncentracji, która kiedyś tak ją onieśmiałała. I pociągała.

Tracy, przestań! Włożyła fartuch, ochraniacze na buty i resztę rzeczy, które Ben dla niej przygotował, po czym weszła do oszklonego boksu.

– Zamknij drzwi, bo muszę je zalepić taśmą.

– Taśmą? – wykrztusiła.

– Tylko taką. – Pokazał jej rolkę zwyczajnej taśmy do pakowania. – Odezwie się twoja klaustrofobia?

Miała nadzieję, że nie, ale gdy znalazła się w potrzasku, zawsze ogarniał ją paniczny strach. Nieważne, czy był to potrzask fizyczny czy emocjonalny, strach zawsze był taki sam. Spojrzawszy w stronę recepcji, zorientowała się, że ze swojego miejsca widzi wyjście na dwór.

– Nic mi nie będzie, dopóki tam są drzwi. Na szczęście ten boks jest oszklony.

– W porządku. – Uszczelnił drzwi, po czym wyjął torbę Tracy z lodówki, by obejrzeć każdą z podpisanych fiolek. Wybrał dwie.

– Co mam robić? – zapytała.

– Przygotuj szkiełka. – Podniósł jedną z fiolek. – „Daniel, płęć męska, lat 12” – przeczytał. – Żyje?

– Tak. – Serce się jej ścisnęło na wspomnienie przerażenia w oczach chłopca. Na szczęście Daniel żyje, podobnie jak Cleo, jego młodsza siostra. Niestety, ich matka była jedną z pierwszych

ofiar. – Gorączkuje, ale zmian skórnych nie stwierdziłam.

– Objawy zapalenia płuc?

– Jeszcze nie i dlatego wydało mi się to dziwne. Większość ofiar uskarżała się bliskim na kaszel, gorączkę i złe samopoczucie.

– Powiększona wątroba u zmarłych?

– Już ci mówiłam, że nie było sekcji zwłok. – Głos jej się łamał. – Bo wojsko wszystko zniszczyło.

Gdy dotknął jej dłoni, ciepło przenikające przez rękawiczkę dodało jej otuchy.

– Przygotuj szkiełka, a ja zajmę się wirówką.

To zajęcie pozwoliło jej nie myśleć o koszmarze, jaki wraz z Pedrem zastali w São João dos Rios. Rozłożyła kilka szkiełek na blacie, po czym wymazówką ostrożnie nałożyła na nie cienką warstwę materiału do badania.

– Czego będziesz szukał?

– Wszystkiego. – Sądząc po jego ściągniętych rysach, przeczuwała, że Ben ma już hipotezę. – Teraz należy je delikatnie podgrzać. – Zapalił niewielki palnik, by pokazać, jak się robi, żeby preparat przylgnał do szkła.

Gdy ktoś kaszlnął w wejściu, oboje podnieśli głowy.

– Pana asystentka bezpiecznie dojechała do domu.

– Dziękuję za informację. – Ben uniósł pięść z podniesionym kciukiem.

Tracy za to przyłapała się, że na wzmiankę o Mandy mocniej ścisnęła szkiełko. Idiotyzm. Owszem, Mandy go pocałowała, ale Brazylijczycy całują wszystkich. Taki tu zwyczaj. Poza tym ta kobieta ma rodzinę. I dziecko.

Serce ścisnęło się jej z bólu. Ben bardzo chciał mieć dzieci. Ona też. Byli zachwyceni, kiedy zaszła w ciążę. Do dnia, w którym dowiedziała się o czymś, co nią wstrząsnęło i zmusiło do ucieczki. Dała się pochłonać pracy, co nie podobało się Benowi, ale jednocześnie zastanawiała się, jak mu o tym powiedzieć.

Wszystko uległo zmianie, gdy przysłał po nią wojsko do wioski, w której wybuchła epidemia żółtej febry. Zdawała sobie sprawę, że to w trosce o nią i dziecko, by chronić ich nie przed samą chorobą, bo Tracy była zaszczepiona, ale przed tym, co może się wydarzyć, gdy Ben straci żonę z oczu.

Jednak ona nie potrzebowała ochrony. Chciała pracować, bo praca stała się schronieniem przed chaosem i zagubieniem, a Ben zawiódł jej zaufanie. Poroniła tydzień później, a przepaść, która otworzyła się między nimi z powodu akcji wojska, stawała się coraz głębsza. Po obu stronach coraz częściej padały poważne oskarżenia.

W końcu zachowała tę tajemnicę dla siebie. Dzielenie się nią nic by nie zmieniło, tym bardziej że postanowiła odejść. Praca nadal była jej priorytetem, kołem ratunkowym, więc skupiła się na tym, co robi.

Sięgnęła po wymazówkę, by przygotować, a następnie podgrzać szkiełka z drugiej fiołki.

– Zabarwić je?

– Najpierw zobaczmy, co widać tutaj.

– W gospodarstwie jednej z ofiar są świny. To może być leptospiroza?

– Niewykluczone. – Zmienił oświetlenie w mikroskopie. – Jeżeli niczego nie znajdziemy teraz, trzeba będzie wyhodować kultury. I wtedy leptospiroza się ujawni.

Nie powiedział o tym, co wiedzieli oboje: że to może potrwać kilkanaście dni, jeżeli nie dłużej.

Nerwowo zerknęła w stronę recepcji, gdzie żandarm rozsiadł się w fotelu, skąd ich widział. Wyglądało, że obraca w palcach coś podobnego do wykałaczkę i akurat w tej chwili ich nie

obserwuje. Nie mógł usłyszeć rozmowy prowadzonej półgłosem w boksie.

– Możemy mieć problem.

– Dlaczego? – Ben podniósł na nią wzrok.

– Bo powiedziałam, że odpowiedź dostanę dzisiaj.

– Co im powiedziałaś?! – Zacisnął palce na krawędzi stołu. – To szczyt

nieodpowiedzialności...

– Wiem, ale nie miałam wyboru. Albo to, albo wyjazd z São João dos Rios z pustymi rękami.

Zacisnął powieki.

– Ciągle się obnosisz z kompleksem zbawcy. Nie męczy cię rola kogoś, kto w ostatniej chwili ratuje sytuację?

– Wydawało mi się, że to twoja rola. Brać sprawy w swoje ręce, kiedy nie do ciebie należy podejmowanie decyzji – zachnęła się. – Może gdybyś przestał myśleć tylko o sobie... – Ugryzła się w język. – Przepraszam, to było nie na miejscu.

– Owszem. – Wziął od niej szkiełko, po czym rzucił je na stół.

Żandarm zerwał się na równe nogi.

– *O que foi?*

– Przepraszam. – Ben podniósł szkiełko. – Upadło mi. – Mimo że powiedział to na tyle głośno, by żandarm go usłyszał, zachował opanowany ton. Ale to nie rozładowało napięcia.

Żandarm się zrelaksował.

– Idę do bufetu. Coś wam przynieść? – zapytał.

Ciekawe, jak by im podał jedzenie przez oklejone taśmą drzwi? Jej i tak nic by przez gardło nie przeszło.

– Ja dziękuję.

– Ja też.

Żandarm wzruszył ramionami, po czym obejrzał drzwi do laboratorium, wyjął klucz z zamka, otworzył drzwi i z zewnątrz przekręcił klucz. Chce ich zamknąć!

– Nie! – krzyknęła, nie wiedząc, jak go zatrzymać.

– Sorry, mam rozkaz. Nie wyjdziecie stąd, dopóki wszystkie próbki nie zostaną zniszczone. Miała ochotę wdać się w dyskusję, ale Ben ją powstrzymał.

– Nie rób tego.

Patrzyła bezradnie, jak żandarm zamyka ich w laboratorium, czując, że wzbiera w niej strach.

– A jeśli on nie wróci? I będziemy uwięzieni?

Ben zdjął rękawiczkę, po czym sięgnął do kieszeni.

– Mam zapasowy. Wiem, że się tego boisz.

Odetchnęła z ulgą.

– Dostałeś niezłą nauczkę, no nie?

Stanęło jej przed oczami, jak pewnego razu zbyt mocno przytrzymał jej ramiona nad głową, gdy baraszkowali w łóżku. Na początku to była zabawa, ale niespodziewanie załapała ją fala panicznego strachu i chociaż wiedziała, że to nielogiczne, zaczęła na serio się wyrывać.

Głos uwiązał jej w gardle. Ben zorientował się, że to już nie zabawa dopiero, gdy uwolniła jedną rękę i paznokciami rozorała mu policzek. Gwałtownie się odsunął, a ona leżała, z trudem łapiąc oddech, a po policzkach płynęły jej łzy ulgi. Kiedy dotarło do niego, co się stało, zaczął ją tulić i przepraszać. Od tej pory starannie unikał wszystkiego, co mogłoby sprawić, że poczułaby się uwięziona.

I popadł w przesadę. Gdy się kochali, był mniej namiętny, bardziej się kontrolował.

Zabrakło tego, co wcześniej tak ich cieszyło, kiedy jego zaborczość w sypialni stanowiła dodatkową atrakcję.

Tracy żałowała, że tak się stało, mimo że rozumiała przyczynę, dla której Ben narzucił dystans. To, że nie potrafiła mu wytłumaczyć, gdzie leży granica między zniewoleniem a bliskością, wbiło między nich pierwszy klin. Przepaść powiększyła się później, gdy zaszła w ciążę, a on próbował ją ograniczać. Poczwała wtedy, że się dusi. Walczyła zajadle, a ślady tej walki, chociaż niewidoczne, równie negatywnie odcisnęły się na ich związku.

Teraz Ben z uśmiechem dotknął policzka.

– Nie doznałem trwałych obrażeń. – Akurat.

– Nie mogę sobie tego wybaczyć – wyznała.

– Powinienem był się zorientować, że się boisz.

– Skąd miałeś wiedzieć?

Nawet ojciec podczas zabawy nie wyczuwał w jej śmiechu nuty strachu. Łagodny jak baranek tatuś za nic w świecie nie chciałby wyrządzić jej krzywdy. Jej starsza siostra była nieustraszoną chłopczycą, ale potem przyszła na świat Tracy: zawsze bojaźliwa, zawsze ostrożna. Ojciec nigdy nie wiedział, jak do niej podejść.

W dalszym ciągu się bała i unikała sytuacji, w których mogłaby się poczuć jak w pułapce.

Teraz mama i siostra już nie żyły. Mamę zabił bezwzględny zabójca, który sprawia, że DNA człowieka obraca się przeciwko niemu. Przekazywany z matki na córkę. Tracy od dawna uciekała przed jego widmem.

Ben naciągnął nową rękawiczkę, po czym sprawdził, czy rzucone na stół szkiełko nie pękło. Odezwwał się, nie patrząc na nią.

– Wyglądasz na zmęczoną. W rogu rozłożyłem łóżko na wypadek, gdyby się okazało, że musimy się zmieniać. Znam cię i widzę, że tej nocy nie spałaś.

– Nic mi nie jest. – Miał rację. Padała z nóg, ale nie mogła okazać, że nadal czyta w jej myślach. Ani że jego troska sprawia, że jej serce bije szybciej. – Tutaj jest strasznie gorąco.

– Wiem, bo klima w laboratorium jest bardzo wysłużona, a ten filtr powietrza mało co przepuszcza.

Poczwała, jak strużka potu spływa jej po plecach.

– Nie szkodzi.

Wsunął szkiełko pod obiektyw i pochylił się nad okularem.

– Ile mają te próbki? – zapytał.

– Około dwóch godzin.

Zaklął pod nosem. Najwyraźniej nie podobało mu się to, co zobaczył. Sięgnął po drugie szkiełko, obejrzał próbkę, po czym przetarł okular rękawem fartucha i znowu pochylił się nad mikroskopem.

– Co masz? – Czekając na odpowiedź, czuła, jak pulsuje jej krew w skroniach.

Przeniósł na nią wzrok.

– Jeżeli się nie mylę, to jest dzuma płucna. – Spojrzał na fiolkę, którą trzymała w ręce. – Jeżeli pobierałaś te próbki, już zostałaś skażona.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zaniemówiła, przetwarzając w myślach jego słowa.

– Sama zobacz. – Usunął się trochę od mikroskopu, robiąc jej miejsce.

– Na co mam zwrócić uwagę?

– Widzisz te łańcuszki czerwonych kropek?

– Tak. – Doliczyła się kilkunastu takich łańcuszków.

– To jest to. Obejrzę jeszcze drugie szkiełko i na wszelki wypadek zrobię posiew, chociaż już mam absolutną pewność. To *Yersinia pestis*, ta sama bakteria, która wywołuje dżumę. Poznaję kształt. – Wyprostował się, jakby chciał ulżyć obolałemu karkowi. – Zazwyczaj dżuma roznosi się od szczurów poprzez ukąszenie pchły. Jednak jeżeli bakteria dostanie się do płuc człowieka, staje się jeszcze bardziej niebezpieczna, bo drogą kropelkową zaczyna przenosić się z człowieka na człowieka. I wtedy pchła już jest zbędna. Od razu dostaniesz dużą dawkę streptomycyny.

– A ty?

– Ja też, ale profilaktycznie. – Spuścił kroplę barwnika na szkiełko. – Większość pracowników tego laboratorium jest zaszczepiona przeciwko dżumie, łącznie z Mandy. Domyślam się, że nie jesteś zaszczepiona.

– To prawda, ale to znaczy, że nikt... Ojej... – Szumiało jej w uszach. – To miasteczko... Muszę do nich wracać! Tam wszyscy mogli mieć kontakt z tą bakterią. Pedro...

– Kto to jest ten Pedro?

– Mój pomocnik.

Nim zdążyła się zastanowić, co robić, szcęknęła zamek w drzwiach do laboratorium. Żandarm najpierw czujnie się rozejrzył, po czym zatrzymał wzrok na Tracy.

– *Problema?* – zapytał.

W ręce trzymał kubeczek z kawą.

Dyskretne szarpnięcie za brzeg koszuli zrozumiała błyskawicznie: „Nic mu nie mów, dopóki nie obejrzę drugiej próbki”. Zdziwiło ją to ostrzeżenie, ponieważ Ben zawsze pozostawał za pan brat z wojskowymi. Przynajmniej gdy byli małżeństwem. Teraz opanowanym ruchem odłożył szkiełko na stół.

– Żeby mieć pewność, musimy obejrzeć więcej próbek.

– Nie trzeba. Nasi lekarze już wiedzą, co to jest i podejmą stosowne środki zapobiegawcze. Środki zapobiegawcze? Co to znaczy?

Wyzywająco uniosła brwi.

– To jaka to choroba? – rzuciła, licząc, że żandarm blefuje.

– Nie mogę powiedzieć, ale komendant chce rozmawiać z doktorem Almeidą. Sam na sam. Zadrzała. Sam na sam. Dlaczego?

A jeżeli wojskowi lekarze doszli do innych wniosków niż Ben? Jeżeli uznali, że to coś innego niż dżuma? Ludzie nadal będą umierali... a epidemia będzie się rozszerzać. São João dos Rios jest bardzo biedne. Ile rodzin czeka żałoba z powodu braku informacji?

Ją to spotkało. Wie, jaki to ból.

Straciła matkę, babcię i siostrę, aczkolwiek w przypadku tej ostatniej przyczyną śmierci nie była choroba związana z wadą genetyczną. Jednak najwięcej kosztowała ją utrata nienarodzonego dziecka. Jej i Bena.

Wszyscy odeszli przedwcześnie, więc uznała, że nie może zmarnować ani jednej sekundy życia, czekając, co los jej przyniesie. Uznała, że ruch to życie i żyła z intensywnością

niezrozumiałą dla innych.

Łącznie z Benem.

Wisi nad nią śmiercionośne widmo, podobnie jak decyzja, którą pewnego dnia będzie zmuszona podjąć. Ale zanim to nastąpi, zrobi wszystko, żeby poprawić los innych.

Ale może to znowu ucieczka? Jak od Bena? Nie, rozstali się z całkiem innych powodów. Na pewno?

Otrząsnęła się.

– Dlaczego on chce rozmawiać z doktorem Almeidą sam na sam?

– Nie mogę powiedzieć. – Żandarm kiwnął głową w stronę jej torby. – Te próbki muszą być zniszczone.

– Zajmiemy się tym – odparł jej mąż ze spokojem. Jak zawsze wręcz buddyjskim.

Wyobraziła sobie, że z takim samym spokojem przyjąłby decyzję, z którą ona teraz się zмага.

Jego opanowanie wkurzyło ją tak samo jak podczas ich ostatniej kłótni. Jak można tak niczym się nie przejmować?! Cały Ben! Wychował się w Brazylii... i często zachowywał się bardziej jak Brazylijczyk niż Amerykanin.

Ben zerwał z drzwi taśmę uszczelniającą, zdezynfekował ręce, po czym wraz z żandarmem wyszedł na korytarz. Westchnęła. Nigdy nie wiedziała, co dzieje się w jego głowie. Nawet po ślubie niewiele o sobie mówił. Mimo tego dystansu wyczuwała w nim tęsknotę za tym, czego mu zabrakło, gdy dorastał: bliskości oraz rodzinnego ciepła.

W dalszym ciągu bardzo bolała nad tym, że mu tego nie dała, że rzucając się w wir pracy z powodu straty dziecka oraz bomby zegarowej tykającej w jej ciele, miała świadomość, że stopniowo staje się taka sama jak jego rodzice.

Vickie umarła, nie wiedząc, że jest nosicielką wadliwego genu. To nie rak odebrał jej życie, ale gorączka krwotoczna, choroba endemiczna w Brazylii. Umierając, Vickie była w ciąży. Jej mąż z rozpaczy odchodził od zmysłów, podobnie jak ona, Tracy. Jedyna pociecha w tym, że los oszczędził Vickie niepewności, czy swojemu dziecku przekazała zabójczy gen raka, czy nie.

Obawiając się tego samego, Tracy nawet w chwilach największej słabości nie życzyła swojemu dziecku, by stało się mu coś złego. Ale i tak je straciła. Jakby z góry nie było jej pisane się rozmnażać.

Zamrugnęła gwałtownie, by pozbyć się przykrych myśli. Dopiero wtedy się zorientowała, że Ben i żandarm już wrócili do laboratorium i że się jej przyglądają.

– O co chodzi? – zapytała, piorunując Bena wzrokiem, by nie ważył się napomknąć o jej zaczerwienionych oczach. Zauważył je, ale się powstrzymał.

– Muszę jechać do São João dos Rios – oznajmił. – Chcesz, żebym podrzucił cię na lotnisko?

– Słucham?

Po co mi lotnisko? Nie ma mowy.

– Jadę z wami. – Wzięła się pod boki.

Ben i żandarm zaczęli mówić jednocześnie. Zrozumiała z tego tyle, że Bena zaproszono do São João dos Rios, a jej nie. Zagotowało się w niej.

– To ja pobrałam próbki. Ja tam już byłam.

– I w rezultacie mogłaś zarazić się dżumą.

– No właśnie. – Opuściła ramiona. – Już miałam z nią kontakt. Ben, jestem lekarzem. Przez całe życie walczę z takimi epidemiami. Powinnam być tam. Na miejscu.

– Tym razem nie ja o tym decyduję – odrzekł sucho.

– Tym razem! – prychnęła. – W odróżnieniu od tamtego razu, kiedy wysłałeś swoich

bandziorów z rozkazem, żeby mnie wywieźli? – Niemal to wykrzyczała. – W São João jest mój pomocnik. Nie zostawię go samego. Chcę rozmawiać z waszym przełożonym – oznajmiła żandarmowi.

Ten osłupiał. Nie dowierzał własnym uszom, że ktoś śmie kwestionować wydane mu rozkazy.

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

Poczuła, że Ben chwytą ją za ramię.

– Dajcie mi chwilę, żebym z nią porozmawiał. – Niemal zawlókł ją w drugi koniec laboratorium. – Co ty wyprawiasz?! – syknął, patrząc jej w oczy.

– Już ci mówiłam. Wykonuję swoją pracę.

– Wojsko chce to zrobić po swojemu. Pojadą tam, zajmą się tymi w jako takim stanie i zabezpieczą, żeby epidemia się nie rozprzestrzeniła poza São João.

– Tymi w jako takim stanie?! Zastanów się, co mówisz! Tu chodzi o istoty ludzkie, o dzieci jak Daniel i Cleo, które już nie mają nikogo. Należy się im, żeby znalazł się tam ktoś, kto o nie zawalczy.

– Uważasz, że los tych dzieci jest mi obojętny? To ja chciałem, żebyś zwolniła tempo, kiedy byłaś w ciąży... – Milczał przez kilka sekund, po czym zniżył głos: – Mnie też los tych wieśniaków nie jest obojętny.

Jego skalpel chirurgiczny ciął głęboko. Domyśliła się, co chciał powiedzieć, kiedy się zawahał. Nadal był przekonany, że to przez jej poczynania ich dziecko nie przeżyło. Najgorsze jednak było to, że nie miała stuprocentowej pewności, że Ben się myli. Odkąd otrzymała wyniki badań genetycznych, pracowała jeszcze więcej, by wyzbyć się uczucia, że znajduje się w potrzasku. Ale teraz nie miała ochoty rozwijać tego wątku.

– Proszę, zabierz mnie z sobą. Ci faceci czują przed tobą respekt, wiem o tym. Zadzwoń do tego komendanta i powiedz, że jestem ci potrzebna.

Przegarnął włosy palcami, po czym pokręcił głową.

– Tracy, proszę, daj spokój, choć ten jeden raz. Nawet nie wiesz, jakie sprawy mogą przybrać obrót, zanim to się skończy.

– Wiem. I dlatego muszę tam być. Tych dwoje maluchów już straciło matkę. Chcę pomóc, żeby i one nie zginęły.

Nie dopuści, by jakiś generał czy choćby Ben uznali, że Daniela i Cleo można spisać na straty.

– Dalej będę brała antybiotyki. Zrobię wszystko, co mi ci urzędnicy każą. Poza tym został tam mój pomocnik. – Nie chciała wyjaśniać rzeczywistego powodu, dla którego musi znaleźć się w São João. To był dowód na to, że żyje, że walczy o innych, bo może nie być w stanie walczyć o siebie. Odetchnęła głęboko. – Proszę, nie każ się błagać.

– Tracy, wiem... – Nim dokończył, stanął przed nimi żandarm, niecierpliwie klepiąc się czapką po udzie.

– Musimy jechać.

Ben zaklął, po czym odwrócił od niej wzrok.

– Zadzwońcie do generała Gutierrez i zameldujcie, że jesteśmy w drodze. Oboje.

– Tak jest – bez mrugnięcia powieką odparł żandarm.

Czym wytłumaczyć mir, jakim darzą go mundurowi? Wiedziała, że pensję otrzymuje od rządu, ale wydawać takie polecenia w przekonaniu, że nikt ich nie zakwestionuje?

– Dziękuję – wykrztusiła.

Puścił to mimo uszu.

– Ruszymy za wami do São João dos Rios, jak tylko zniszczymy próbki – ciągnął Ben. –

Pojedziemy moim wozem terenowym, bo musimy zabrać sporo sprzętu.

Przed rozmową telefoniczną z przełożonym żandarm służbistym gestem nałożył czapkę.

– Komendant wyśle kogoś na tamtejszy rynek, żeby się z wami spotkał i poprowadził do naszego punktu selekcji chorych. Pospieszcie się – wyrecytował, przekazawszy zwierzchnikowi słowa Bena.

– Zawiadam ich, że będziemy tam w ciągu trzech godzin.

– *Vai com Deus*.

Zwyczajowe „Jedźcie z Bogiem” zabrzmiało złowieszczo, jakby żandarm chciał odstraszyć diabła. Dżuma płucna to coś znacznie więcej. Na przestrzeni wieków jej kuzynka zabiła miliony ludzi.

Mimo obaw, że znowu przyjdzie jej pracować z Benem, Tracy trochę się uspokoiła. Przynajmniej tej walki nie będzie zmuszona toczyć w pojedynkę.

Będzie z nią Ben. A jeśli pozna prawdę o badaniach genetycznych, które przeprowadziła, zanim ich drogi się rozeszły? Poradzi sobie. Jak wtedy, gdy straciła dziecko i gdy dowiedziała się o niepewnym rokowaniu w swojej sprawie. Sama.

Kiedy w pośpiechu pakowali do auta sprzęt, niebo przeszła błyskawica, liznęła pień pobliskiego drzewa, po czym zawróciła do nieba. Kilka sekund później Ben poczuł swąd spaleniźny, a chwilę później przetoczył się grzmot, od którego ziemia aż zadrżała.

Tracy się otrząsnęła.

– Takie burze zdarzają się tylko w Teresinie, nigdzie indziej.

Uśmiechnął się.

– Pamiętasz, jak miejscowi nazywają to miasto i jego okolice? *Chapada do corisco*: równina błyskawic. Jeśli gdziekolwiek piorun dwa razy trafił w to samo miejsce, to właśnie tutaj. – Zatrzasnął tylne drzwi dżipa. – Wolałbym się o tym nie przekonać, więc jak jesteś gotowa, to wskakuj do środka.

Zapinała pas, spoglądając tam, skąd nadciągała burza.

– Wygląda na to, że pioruny upodobały sobie spotkania akurat na tym drzewie.

Mimo że od lat stanowiło cel piorunów, kurczowo trzymało się życia, wypuszczając coraz to nowe zielone liście na grubych powykręcanych konarach. Jakim cudem przetrwało? – zastanawiał się Ben.

Ich związek nie miał tyle szczęścia.

– Kiedyś się zwali. – Zapalił silnik.

– Ale nie ze swojej winy – powiedziała cicho Tracy. – To smutne.

Myśli o tym, co ich spotkało? Gdy odeszła, żył wyłącznie heroicznym wysiłkiem woli. Prawdę mówiąc, oddaliła się od niego, jeszcze zanim wyprowadziła się z domu. Zaakceptował to i funkcjonował dalej. Słusznie.

To dlatego jedzie teraz do São João dos Rios. Razem z Tracy. Nie powinien był się na to zgodzić. Generał Gutierrez poparłby jego decyzję. Więc dlaczego się nie uparł?

– Na pewno chcesz tam jechać? Lotnisko jest po drodze. Bez trudu dostaniesz się na samolot do São Paulo.

Zacisnęła palce na pasie bezpieczeństwa.

– Nie mogę ich zostawić – powtórzyła, spoglądając mu w oczy. – Ja tak nie postępuję.

Naprawdę? Miał wrażenie, że rzuciła go bez najmniejszych skrępułów. Ale tego nie powie, bo ani jemu, ani jej nie wyszłoby to na dobre.

Gdy dotarli do wjazdu na autostradę, natknęli się na metalowe zapory ustawione w poprzek drogi. Westchnął.

Czteropasmowa arteria, budowana od dłuższego czasu, w dalszym ciągu nie była otwarta.

Zjechał stromym nasypem do tak zwanego objazdu, czyli wąskiej szutrówki biegnącej równolegle do autostrady. Jak okiem sięgnąć to, co miało stać się autostradą, teraz było szerokim pasem ubitej czerwonej gliny.

Wyboistą drogą poruszały się tylko ogromne ciężarówki oraz dżipy. Nie mieli wyboru. Z tej samej drogi korzystały tiry przewożące wszystko, łącznie z żywnością. Nic dziwnego, że z powodu opłakanego stanu infrastruktury w północnowschodniej Brazylii panuje taka drożyzna.

– Ile oni już robią tę autostradę? – zapytała Tracy.

– Lepiej nie pytaj.

– Kiedy jechałam tu poprzednio, ta droga była utwardzona.

Jako małżeństwo większość czasu spędzili w Teresinie. Ben zmienił miejsce pracy, aby być w jednym miejscu. Liczył, że Tracy zrobi to samo. Grubo się przeliczył.

Zrezygnowała z pracy na statku medycznym, ale to było jedyne ustępstwo na rzecz ich związku. Gdy się zorientował, że ona nigdy nie zwolni tempa, stracił więcej niż żonę.

– Owszem, można tak to nazwać. – Skrzywił się. – Mam wrażenie, że ta nitka, którą teraz jedziemy, jest lepsza niż dawna autostrada. – Zwolnił na wybojach wymytych przez tropikalne ulewy. – Przynajmniej odcinkami.

– Moje auto by tego nie przeżyło.

Uśmiechnął się.

– Dalej jeździsz tą blaszaną puszką?

– Rhonda bardzo mało pali.

Przypomniało mu się, jak ich rozbawiła, kiedy po ślubie uparła się zachować stare auto mimo niebezpieczeństw czyhających na ulicach Teresiny. Ku jego zdumieniu autko okazało się nadzwyczaj wytrzymałe. Spisywało się bez poważniejszych przygód na brukowanych nawierzchniach wąskich uliczek. Raz Tracy straciła zderzak. Wróciła do domu ze zderzakiem umocowanym na dachu. Uśmiechnął się. Kiedy zasugerował, że pora zmienić auto, kategorycznie odmówiła. Gładziła maskę gruchota, mówiąc, że nieraz pomógł jej w trudnych sytuacjach.

Jego uśmiech zgasł. Zabawne, że jej lojalność wobec samochodu nie znalazła odzwierciedlenia w ich związku.

Szukał w myślach innego tematu, ale go ubiegła.

– Co słyhać u Marcela?

Brat Bena był ordynatorem oddziału neurochirurgii w największym szpitalu w Teresinie.

– W porządku. Dalej tak samo uparty.

Uśmiechnęła się.

– To znaczy, że jeszcze się nie ożenił.

– I nigdy się nie ożeni. – Zerknął na nią. – A co u ciebie? Jak się ma Projeto Vida? –

Pływający szpital, na pokładzie którego się poznali, był jej oczkiem w głowie.

– Fantastycznie. Matt wrócił do zespołu. Ma córeczkę.

Siostra Tracy, żona Matta, zmarła kilka lat wcześniej.

– Ożenił się ponownie?

– Tak, dwa lata temu. – Zawahała się. – Stevie... właściwie Stephanie, jest cudowna.

Kocha tę pracę i idealnie wpasowała się do zespołu.

– To cieszy. Matt wydawał mi się fajnym facetem. – Ben spotkał go kilka razy w Coari, gdy jeździł tam z transportem zapasów i sprzętu dla statku-szpitala.

– To bardzo porządny człowiek. Cieszę się, że znowu jest szczęśliwy.

Tego samego nie powiedziałaby o Tracy. Martwiły go jej podkrążone oczy, być może na skutek stresu wywołanego tym, co zastała w São João.

Spojrzał na nią kątem oka. Reszta wyglądała tak samo, jak zapamiętał. Długie czarne włosy

do ramion, grzywka, którą rozwiewał każdy podmuch z klimatyzatora, długie nogi w szortach.

Wbrew sobie czuł, że w jej obecności zalewa go tęsknota za rodziną i normalnością. Kiedyś wydawało mu się, że Tracy ustabilizuje jego życie, pomoże mu poradzić sobie z trudnym dzieciństwem. Jego rodzice stale podróżowali, zostawiając dwóch synów pod opieką gosposi. W pewnym sensie czuł silniejszą więź z Rosą niż z rodzoną matką. Do tego stopnia, że zatrzymał gosposię u siebie po tym, jak rodzice na stałe przenieśli się do Stanów.

Marzyło mu się, że życie z Tracy będzie inne, że ich dzieci będą miały rodzinę, o jakiej marzył jako dziecko. Ale Tracy, gdy zbliżył urok pierwszych miesięcy małżeństwa, znowu zaczęła podróżować, stale znajdowała nowe ogniska medycznych kryzysów, z którymi musiała walczyć albo w ramach Projeto Vida, albo inaczej.

Rozumiał poświęcenie się pracy zawodowej, on też był jej oddany, ale nauczył się wykonywać ją w jednym miejscu. Tracy mogła zrobić to samo.

Jednak z miesiąca na miesiąc narastało w nim to samo co w dzieciństwie poczucie porzucenia oraz żal. A kiedy zaszła w ciążę, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej opętanej przez pracę, coraz więcej czasu spędzała poza domem. Pękł, gdy dowiedział się, że w jednej z wiosek walczy z żółtą febrą. Zadzwonił do dobrego przyjaciela, generała Gutierrez, wiedząc jednocześnie, że Tracy jest zaszczepiona. Ten wybieg zaowocował połowicznym sukcesem: Tracy wróciła do domu, ale ich małżeństwo się rozpadło, jeszcze zanim poroniła.

Wobec tego dlaczego nie związał się z kimś innym? W tych czasach niekoniecznie trzeba brać ślub. I dlaczego Tracy nie wystąpiła o rozwód?

Nie zapyta o to.

– Ile trzeba czasu, żeby rozwinęła się dżuma płucna?

Otrząsnął się.

– Od kontaktu z osobą zarażoną do pierwszych objawów? Średnio dwa dni. Ale zgon może nastąpić od trzydziestu sześciu godzin do tygodnia, a nawet dłużej od zakażenia. To zależy, czy oprócz płuc uszkodzony został jeszcze inny narząd.

– Nie daj Boże.

– A propos, antybiotyki są z tyłu, w czarnej torbie. Sięgnij po nią i zażyj pierwszą dawkę, nim tam dojedziemy.

Posłusznie wykonała to polecenie, popijając wodą z butelki, którą nosiła przy sobie.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że udało ci się tak szybko zidentyfikować tę bakterię.

– Ha! Nie każdy ma taki sprzęt jak my.

– Oraz wsparcie ze strony wojska.

Puścił mimo uszu tę gorzką aluzję.

– Taka jest rzeczywistość w krajach rozwijających się. Kiedyś dogonimy resztę świata. Przykładem może być szpital Marcela, w stu procentach zbudowany ze środków pozarządowych.

– Podobnie jak Projeto Vida. – Zamilkła, gdy podskoczyli na kolejnej muldzie. – Skoro mówimy o pieniądzach, to musimy sprawdzić, czy w najbliższej aptece mają odpowiednią ilość antybiotyku. W razie potrzeby sfinansuję więcej.

– Postanowiłem już wcześniej, że się do tego dołożę. – Kiedy na moment ich spojrzenia się spotkały, dotknęła jego ręki na dźwigni hamulca.

– Ben, dziękuję, że mnie zabrałeś i że też przejmujesz się losem tych ludzi.

Poczuł, jak jej słowa i ciepło dłoni przenikają lodowy pancerz, którym się otaczał przez ostatnie lata.

Nie tak wprawdzie podpisuje się zawieszenie broni, ale poczuł, że Tracy zainicjowała rozmowy na ten temat.

Przyszedł czas na jego ruch.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Drogę wjazdową do São João dos Rios blokowały pojazdy wojskowe, przy których stali żołnierze z bronią gotową do strzału.

– Nie ryzykują – mruknął Ben, zwalniając.

– W takich przypadkach ostrożność jest wskazana. – Mimo strachu z powodu obecności brazylijskich żołnierzy Tracy pamiętała o roli wojska podczas transformacji Brazylii z kolonii portugalskiej w niezależne państwo. Bez rozlewu krwi. Oraz o tym, że po dziś dzień między oboma państwami panują poprawne stosunki.

Nie należy się ich bać, pomyślała.

Ben okazał im dokument identyfikacyjny.

– Generał Gutierrez na nas czeka.

Żołnierz sprawdził coś na spisanej odręcznie liście, po czym kiwnął głową.

– Poinformowano was, z czym macie do czynienia?

Nie. Powiedziano im jedynie, że Ben ma jechać do São João dos Rios. Postanowiła jednak siedzieć cicho.

Ben natomiast przytaknął.

– Zdajemy sobie z tego sprawę. Wieziemy maski oraz sprzęt.

Milczała dalej. Ben nieraz współpracował z wojskiem i najpewniej zidentyfikował już niejednego patogen. Cztery lata temu na jego prośbę zlokalizowali ją, kwestionując jej działania. Do tej pory nie mogła się z tym pogodzić.

Żołnierz kiwał głową.

– Muszę przeszukać wasze auto. Generał Gutierrez rozkazał przeszukać każdego bez wyjątku. Proszę wysiąść.

Ben spojrzął na nią, wrzucił jałowy bieg, podał jej maskę, sam też zasłonił twarz, po czym wysiadł.

Żołnierz zerknął na tylne siedzenie, potem pobieżnie, nie otwierając ich, obejrzał kartony i pojemniki z lekami oraz sprzętem. Wyglądało na to, że szuka pasażerów na gapę. Ale kto by chciał się przedostać na obszar objęty epidemią? Słyszała jednak o znacznie dziwniejszych pomysłach, poza tym nikomu nie mogło zależeć na zawleczeniu choroby do dużych miast. Teresina nie jest wcale tak daleko.

Ben stanął obok, ale jej nie dotknął. I wcale tego nie oczekiwała. Nie miała przecież pojęcia, że znajdą się razem w takiej sytuacji. Ale mimo bólu, jaki sprawiło jej to spotkanie, nie mogła liczyć na lepszego, lepiej wykwalifikowanego współpracownika.

Odwróciła się, usłyszawszy swoje imię. Podązał ku nim Pedro, ale jakieś pięćdziesiąt metrów od nich zatrzymał go drugi żołnierz. Sprawa stała się jasna. Gdy wraz z Benem przekroczą tę linię, nie będzie dla nich odwrotu, dopóki akcja nie dobiegnie końca.

– Ben, na pewno chcesz to zrobić? Możesz mnie tu zostawić i wrócić do Teresiny. Nie ma powodu, żebyś wystawiał na ryzyko siebie i swoją pracę.

– Zapomniałaś już, że to moje nazwisko widniało na tym zaproszeniu? – warknął, nie odrywając wzroku od Pedra. – Poza tym to część mojej pracy. To dlatego pracuję w tym instytucie.

– Tak, ale... – Zabrakło jej słów, bo jedynym powodem, dla którego chciała, by odjechał, była chęć utrzymania dystansu. Skorzystała z jego zaproszenia tylko po to, by dostać się do São João. Z drugiej strony przewidziała, że wojskowym może się przydać jego wiedza.

Przeniosła wzrok na żołnierza, który w tej chwili zaglądał pod samochód.

Chyba facet ogląda za dużo filmów w telewizji.
– Mogę już odejść? Mój pomocnik mnie woła. Chciałabym od razu pójść do pacjentów. Żołnierz dał jej znak, że droga wolna, nie przestając za pomocą latarki oglądać podwozia.
– Tracy... – warknął ostrzegawczo Ben zmuszony asystować przy przeszukaniu.
Wzruszyła ramionami.
– Spotkamy się, jak tylko cię przepuszczą przez punkt kontrolny. Nie pozwól, żeby skonfiskowali nam antybiotyki.
Poprawiając maskę, przekroczyła magiczną linię, spiesząc do Pedra.
– Dżuma płucna – oznajmiła, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu żołnierzy. Pedro też miał na twarzy maskę. – Musisz natychmiast zacząć brać antybiotyk.
– Domyślałem się. Nie puszczają pary z gęby, ale wydzielili strefę kwarantanny, żeby oddzielić chorych od tych, którzy jeszcze nie zachorowali. Nie zostało ich wielu.
– Nowe zgony? A Daniel i Cleo?
– Kto taki?
– Tych dwoje dzieci, które znalazłeś na polu.
Daniel, od którego pobrała próbki, leżał na trawie zbyt słaby, by chodzić, a jego siostra, już z pewnymi objawami choroby, uparła się trwać przy nim. Przenieśli ich do pustego domu w ostatniej chwili, nim wojsko wkroczyło do miasteczka.
– Stan chłopca nie uległ zmianie, ale mieliśmy dwa zgony.
– A Cleo?
– Na pewno jest chora, ale jak już wiemy, z czym mamy walczyć, możemy przystąpić do leczenia. – Położył rękę na jej ramieniu i mocno je uściśnął. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. Strach patrzeć na tych uzbrojonych facetów.
Ostatnie zdanie powiedział po angielsku, wywołując uśmiech na jej wargach. Gdy obejrzała się na Bena, który spoglądał na nich spoде łba, ten uśmiech zgasł.
Nie tylko wojsko budzi strach.
– Lekarze wojskowi podłączyli chorych do kroplówek, ale nie chcą mi powiedzieć, co im podają.
– To dziwne. – Popatrzyła na dom otoczony przez żołnierzy. – Nie mówili o antybiotyku?
– Podejrzewam, że ciągle próbują rozgryźć sytuację.
Podszedł do nich Ben.
– Na piechotę? – zdziwiła się. – A gdzie auto?
– Mają je zaparkować przed domem, w którym zorganizowali laboratorium.
Spoglądał na rękę Pedra na jej ramieniu, czekając, aż zostaną sobie przedstawieni. Zanosilo się na przednią zabawę, bo Pedro też szacował go wzrokiem. Wyraźnie się zastanawiał, co Ben tu robi. Nigdy nie okazał zainteresowania stanem cywilnym Tracy. Wiele osób miało ją za wdowę, a ona tego nie prostowała.
– Ben, poznaj Pedra, mojego pomocnika. – Zawahała się. – Pedro, to jest Ben, główny epidemiolog z Centro de Doencas Tropicais w Teresinie. To do niego pojechałam. – Może nikt nie zauważy, że nie wymieniła jego nazwiska. Ona go już i tak nie używa.
– Ben Almeida. Miło cię poznać. – Uśmiechnął się do niej wymownie, dając do zrozumienia, że ją przejrzał. – Tak się składa, że jestem też mężem Tracy.
Pedro wyraźnie doznał szoku, ale posłusznie uściśnął mu dłoń. Za to Tracy spiorunowała go wzrokiem. Gdyby miała przy sobie kawałek sznura, pewnie by go udusiła.
– Znam już relację Tracy – jak gdyby nigdy nic rzucił Ben. – Teraz ty mi powiedz, co zaobserwowałeś.
Zabrzmiało to, jakby miał ją za idiotkę. Napięcie rosło. Pedro jednak wykazał się dużą

klasą.

– Myślę, że opowiedziała ci dokładniej, niż ja mógłbym. Mamy piętnaście przypadków...

Tracy mówi, że to jest dżuma płucna.

– Tak. – Ben powiódł wzrokiem za grupą żołnierzy w kombinezonach, którzy chodzili od domu do domu. – Sądząc po tym, jak się do tego zabrali, chyba wiedzą, z czym mają do czynienia. Nadal palą zwłoki?

– Tak. Dwa ciała w ciągu ostatnich dwóch godzin – poinformował Pedro.

– Daniel, ten chłopiec, którego wymazałam ci przywiozłam, żyje, ale jest bardzo chory. Jego siostra też.

Wiedziała, że czas na podjęcie leczenia to doba od wystąpienia objawów, ale niezależnie od stanu pacjenta nie zamierzała kapitulować.

Współczuła dzieciom, którym dżuma odebrała matkę, nie dając im szansy ani na pożegnanie z nią, ani na pogrzeb. Jej zwłoki po prostu zostały rzucone na płonący stos. Owszem, wiedziała, że to konieczne, ale przez to wcale nie było jej lżej. Jak by się czuła, gdyby jednym z ciał rzuconym w płomienie był Ben?

Nie, nie Ben. Nie wolno o tym myśleć.

– Gdzie nocujecie? – zwróciła się do Pedra.

– Cywilnemu personelowi medycznemu przydzielili jeden dom, lekarzom wojskowym drugi. Ale obu budynków pilnuje żandarmeria.

Tuż obok zatrzymał się dżip Bena.

– Jadę waszym autem do naszego centrum badawczego – powiedział żołnierz. – Podwieźć was?

– Pójdziemy pieszo – odparł Ben, a Tracy odniosła wrażenie, że chce, by ich rozmowa miała charakter prywatny. – Byłbym wdzięczny, gdybyście umieścili doktor Hinton w tym samym budynku co mnie. Dawno nie widziałem żony i jeżeli to możliwe, chciałbym mieć możliwość spędzenia z nią trochę czasu. – Uniósłszy wymownie brwi, uściśnął jej dłoń.

Pedro wyraźnie się spieszył.

Gdyby nie jego obecność, bez ogródek powiedziałaaby Benowi, że nie życzy sobie utrzymywać z nim żadnych kontaktów, ale znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie mówi ani nie robi nic bez powodu.

Żołnierz uśmiechnął się, po czym obiecał, że zrobi, co w jego mocy. Ale ona i tak powie Benowi, że jej się to nie podoba. Nie życzyła sobie, by ktokolwiek wiedział, co ich łączy, a teraz całe miasteczko będzie za ich plecami o nich plotkować.

– Gratuluję – syknęła.

Pedro przestępował z nogi na nogę.

– Sorry, ale nie wiedziałem, że... Myślałem...

– Że jest wolna? – wtrącił Ben.

Niesamowite, kiedy byli razem, ani razu nie okazał, że jest zazdrosny. Teraz wcale jej się to nie spodobało.

– Nie. Wiem tylko tyle, że z nikim nie mieszka.

– To fakt? – Ben uniósł brwi.

– Tak. Cały personel regularnie spotykał się w jej mieszkaniu.

Tracy uważnie przyjrzała się swojemu pomocnikowi. Był zmieszany, ale w jego spojrzeniu coś się kryło. Kurczę, przecież on się nią nie interesuje. Nigdy nie dała mu powodu, by sobie wyobraził, że się jej podoba.

Chyba nie. Mimo to Ben uznał, że wpadła Pedrowi w oko. Co go to obchodzi?

Dotknęła ramienia Pedra.

– Ben i ja... To skomplikowane...

Owszem, skomplikowane. Przynajmniej z jej punktu widzenia. Ben zapewne jej przebaczył, że bez słowa wypisała się z ich związku. Ale co miała powiedzieć?

Nie tylko nie chcę nowej ciąży. Może nawet się zdecyduję na usunięcie drugiej zdrowej piersi.

Mogłaby to powiedzieć, gdyby chciała. Ale po tym, jak cztery lata temu ją sponiewierał za jej plecami, zmanipulował, by wróciła do domu, nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia.

W pewnym sensie to za jego sprawą podjęła decyzję, co zrobić z wynikami badań. Teraz, kiedy już ani on, ani dziecko nie wchodzi w rachubę, wybrała pomaganie innym. Bardzo jej zależało, by dotarło to i do Pedra, i do Bena.

– Jesteśmy w separacji, więc łączy nas tylko praca.

Dobrze by było, żeby i siebie o tym przekonała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie bez powodu dżumę nazwano czarną śmiercią, a dżuma płucna to jej najbardziej zabójcza postać.

Wszedłszy do domu, w którym zgromadzono chorych, Ben z przerażeniem rozejrzał się po pomieszczeniu. Podobne uczucie ogarnęło Tracy oraz stojącego obok jej pomocnika.

Spoglądali na dwa rzędy wąskich łóżek polowych ustawionych tak ciasno, że lekarze z trudem się między nimi przeciskali. Czternastu chorych, ale nie wszyscy podłączeni do kroplówek. Przyjrzawszy się lepiej, Ben zauważył nad kilkoma łózkami znak „X”.

Przeszył go zimny dreszcz. Łoża śmierci.

Nieco z boku dwaj lekarze w ubraniach ochronnych badali przeraźliwie kaszlącą pacjentkę. Po chwili jeden z mężczyzn wyciągnął ramię, by nad jej łóżkiem nakreślić kolejny złowieszczy znak. Z zimną krwią.

W Benie się zagotowało. Gdy spojrzął na Tracy, w jej oczach wyczytał przerażenie. Pociągnęła Pedra za rękaw.

– Aż tylu...

Pomocnik tylko przytaknął.

Nie mieli na sobie odzieży ochronnej jak dwaj lekarze wojskowi, jedynie maski oraz lateksowe rękawiczki. To wystarczało, ponieważ Tracy i Pedro już zażyli antybiotyk. Ben przewidywał, że i ci dwaj wkrótce zrezygnują z takich zabezpieczeń.

W pokoju pełnym ludzi z gorączką panował zaduch. Wiatrak pod sufitem wisiał nieruchomo. Nie włączono go zapewne z obawy, że jego podmuchy wyniosą drobnoustroje na zewnątrz. Ale chorzy, nawet ci bez „X” nad łóżkiem, mieli niewielką szansę na przeżycie w takim upale. Ben zdecydował, że jego pierwszym posunięciem będzie wydanie polecenia, by zainstalowano tam jakiś system nawilżania.

Spojrzeniem Tracy nakierowała jego uwagę na chłopca leżącego tuż obok. To pewnie ten dzieciak, o którego tak się martwiła, pomyślał. Nad jego łóżkiem dostrzegł czarną kreskę, jakby ktoś już chciał go skreślić z listy żywych, ale się rozmyślił.

– Zajmę się Danielem i Cleo.

Pedro wyraźnie chciał pójść za nią, ale powstrzymało go ostrzegawcze spojrzenie Bena, więc podszedł do pacjenta w drugim końcu pokoju.

Co go obchodzi, że Tracy wpadła mu w oko? W przeciwieństwie do niego Pedrowi nie przeszkadza jej praca. Pewnie jeździ z nią wszędzie.

Żeby zahamować pulsowanie w skroniach, ścisnął palcami grzbiet nosa.

Gdy Tracy badała chłopca, podszedł do lekarzy wojskowych. Gdy się im przedstawił i pokazał identyfikator, jeden z nich wysoko uniósł brwi.

– Epidemiolog, po którego generał Gutierrez wysłał swoich ludzi?

Ben przytaknął.

– To on wydał rozkaz stawiania tych znaczków nad łózkami? – zapytał.

– Hm, nie. Generał przyjedzie tu dopiero jutro. – Mężczyźni wymienili spojrzenia. – Ale we dwóch nie jesteście w stanie zająć się tyloma chorymi, więc...

Decydują, o kogo jeszcze warto walczyć, a kogo można spisać na straty, domyślił się Ben.

– Doktor Hinton i ja was wesprzemy, więc podzielimy się zadaniami. Jestem przekonany, że we czworo będziemy w stanie objąć opieką wszystkich pacjentów.

– Niektórzy nie przeżyją tej doby.

– Ale inni może przeżyją. Powiedzcie mi, których pacjentów już przebadaliście. Potem podzielimy ten pokój na część dla pacjentów w stanie krytycznym oraz część dla tych w lepszym stanie. Jak w szpitalu polowym.

Mężczyźni nie wyglądali na zachwyconych, ale też nie zaprotestowali, ponieważ generał Gutierrez przykazał im wykonywać polecenia doktora Almeidy.

W trakcie obchodu Ben spisał listę. Przy nazwiskach osób w stanie krytycznym, wymagających intensywnej terapii antybiotykowej oraz szczególnej opieki, stawiał dwie litery „IT”. Przy żadnym nazwisku nie postawił krzyżyka.

Dłuższą chwilę spędził przy łóżku kobiety, która krzyczała, gdy weszli do pokoju. Tak, stan krytyczny, krwawa plwocina wokół warg. Dłonią w rękawiczce dotknął jej czoła.

– Zaopiekujemy się tobą.

Ciężko oddychając, kobieta tylko zamrugała.

– Tracy, wszyscy muszą dostać kroplówkę. Nafaszerujemy ich antybiotykiem. – Zwrócił się do jednego z lekarzy wojskowych, wskazując na jego radiotelefon. – Możecie mnie połączyć z generałem Gutierrezem? Muszę zamienić z nim kilka słów.

Nie mogła wiedzieć, co Ben powiedział generałowi, ale za sprawą tej rozmowy i z pomocą kilku żołnierzy przestawili łóżka w zależności od stanu pacjentów. Daniel i Cleo znaleźli się po przeciwnych stronach pokoju.

Tracy odeszła od łóżka chłopca z ciężkim sercem, niepewna jego przyszłości, by kolejnego pacjenta podłączyć do kroplówki. Spojrzała na Pedra zajętego w drugim końcu pokoju.

Uśmiechnęła się, po czym bezgłośnie zapytała:

– W porządku?

Odpowiedział, unosząc kciuk.

Pedro nie był lekarzem, ale towarzyszył jej i pomagał podczas wielu wypraw do najodleglejszych wiosek, więc wiedziała, że w trudnych sytuacjach doskonale daje sobie radę, a gdy ma wątpliwości, nie waha się poprosić o pomoc.

Bała się pomyśleć o nadchodzącej nocy. Ben zażyczył sobie, by na nocleg umieszczono ich w tym samym domu... nie w tym samym pokoju. Ale też poinformował wojskowych, że są małżeństwem. Co on sobie wyobraża? Chyba nie ma ochoty przebywać z nią, bo ona nie chce mieć z nim do czynienia.

Okej, być może „ochota” nie jest najlepszym określeniem. Bo jeżeli znajdą się sami w pokoju, od razu dojdzie do eksplozji. Przypomniała sobie, jak nabuzowana wkroczyła do wioski, w której się poznali. Wcześniej ją poinformowano, że na jej spotkanie wypłynął pewien epidemiolog, ale że wcale mu się nie spieszy.

Zamiast na niego czekać, sama popłynęła w górę rzeki, po czym pomaszerowała do wioski. Zastała go na placu pośrodku grupy mężczyzn uśmiechniętego od ucha do ucha. Już miała zasypać go oskarżeniami, ale w ostatniej chwili słowa uwięzły jej w gardle.

Przyjrzał się jej badawczo.

– Ty do mnie?

– Ja... ja... – wyjąkała. Czując się jak idiotka, dumnie się wyprostowała. Jeszcze mu pokaże.

Pokazała. Dwa dni później.

Boże, za nic w świecie nie może zostać z tym facetem sam na sam w pokoju. Co robić?!

Spędzać jak najwięcej czasu z pacjentami. Krzątała się przy nich już blisko dwie godziny, niedługo koniec jej zmiany. Na ile zna Bena, będzie skrupulatnie egzekwował godziny dyżurów wszystkich medyków, czy im się to spodoba, czy nie.

Pochyliła się nad małą Cleo. Na jej ciepły uśmiech dziewczynka odpowiedziała słabym

uśmiechem.

– Jak się czujesz?

– Chcę spać, boli głowa – wyszeptało dziecko.

– Musisz dużo odpoczywać. – Ból głowy to jeden z objawów dżumy, ale w przypadku Cleo choroba nie rozwijała się tak szybko jak u Daniela. – Jestem pewna...

Coś chłodnego i wilgotnego zaczęło jej pełzać po nodze, od kostki aż do brzegu szortów. Tłumiąc okrzyk, rzuciła się do tyłu, ale niczego nie zobaczyła. Gdy spuściła wzrok, tuż obok ujrzała Bena. Przykucnął ze spryskiwaczem w ręce. Oniemiała.

Nim odzyskała głos, prysnął na nią jeszcze dwa razy.

– Co ty wyprawiasz?!

– Znajdujemy się w pokoju pełnym chorych. To wystarczy, nie trzeba nam tu jeszcze gorączki krwotocznej.

Aha, to środek owadobójczy. Ale dlaczego ją spryskuje? Dałby jej pojemnik i sama by się spryskała.

– Byłaś zajęta – wyjaśnił, jakby czytał w jej myślach. – Czasami lepiej działać od razu, zamiast wdawać się z tobą w dyskusje.

Jak przy ich pierwszym pocałunku? Przyciągnął ją wtedy do siebie i zamknął jej usta wargami, zapytawszy jedynie:

– Można?

Oby teraz nie czytał w jej myślach. Ani nie odgadł, że ta sytuacja przypominała jej inne, kiedy przed nią klęczał.

– Odwróć się – zakomenderował, po czym przystąpił do spryskiwania przodu jej nóg.

– Masz zamiar osobiście spryskać Pedra i wszystkich innych? Czy tylko mnie?

– Oni nie są w szortach. – Uniósł brwi. – Uznałem, że to nie takie pilne.

Wzniosła oczy do nieba, ale posłusznie się odwróciła. Prawdę mówiąc, chłodny środek owadobójczy sprawił wielką ulgę jej rozpalonej skórze. Zorientowała się, że Cleo ją obserwuje.

– Ale on się rządzi... – Na twarzy dziewczynki pojawił się cień uśmiechu.

Tracy roześmiała się uszczęśliwiona, że Cleo ma siłę żartować.

– I to jak!

Jego dyktatorskie zapędy przejawiały się na różne sposoby. O kilku z nich lepiej teraz nie myśleć. Popatrzyła na Bena, który wcisnął jej do ręki pojemnik.

– Resztę możesz spryskać sama, a potem przekaz go innym. I pamiętaj o ochronie, jeśli tu jesteś.

Odwrócił się i odszedł bez słowa.

Chronić się? Jak on jest tak blisko? Ciężko westchnęła. Do tego środek owadobójczy nie wystarczy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tak, jest masochistą.

Spoglądał na postać śpiącą w hamaku, na jej plecy. Po kiego licha zażyczył sobie, by przydzielono im osobny pokój? Chyba zgłupiał z zazdrości na widok Pedra stojącego obok Tracy.

Ale dlaczego?

Odkąd się rozstali, mogła każdego dnia spać z dwudziestoma facetami.

To prawda, ale nie musiał się temu przyglądać.

Mimo że starał się utwierdzić w tym przekonaniu, czuł, że jest to coś głębszego. Głębszego od pożądania wrzącego w nim na widok jej ponętnych bioder i talii, która nie zdążyła się poszerzyć, gdy Tracy straciła dziecko.

Skończyła dyżur dwie godziny przed nim. Przyjął to z ulgą, bo najwyraźniej poszła do pokoju i od razu położyła się spać. Powinien pójść w jej ślady, bo jutro nie będzie lżej niż dzisiaj.

Jej obecność poruszyła w nim emocje, które – jak sądził – poszły w zapomnienie.

Zsunął buty i ułożył się w hamaku.

Ktoś taki jak Pedro byłby dla niej idealnym mężem. Wyraźnie odpowiadała mu jej włóczęgowska natura. Ben domyślał się, że współpracownik towarzyszy jej we wszystkich podróżach. No ale Pedro nie brał z nią ślubu. Nie siedział w domu, zastanawiając się, dlaczego Tracy woli przebywać wszędzie indziej, a nie z nim. Zastanawiając się, czy kiedy dziecko się już urodzi, zostanie oddane pod opiekę gosposi, jak on sam w dzieciństwie.

Na tę myśl ogarnęła go złość.

Więc dlaczego wezbrało w nim pożądanie na widok jej krągłego tyłeczka, gdy pochylała się nad łóżkiem chorej dziewczynki? Na widok smukłych nóg, gdy przechodziła na drugą stronę, by poprawić chorej prześcieradło. To nie była złość. Pożądał jej tak samo jak przed laty.

Początkowo zamierzał wręczyć jej pojemnik ze środkiem owadobójczym z poleceniem, by sama się spryskała, ale też chciał wymazać z umysłu niepokojące obrazy. Pomyślał, że taki zimny prysznic zmusi ją do zmiany pozycji, a jednocześnie każe jego organizmowi wrócić do normy. Niczym wirtualny defibrylator powstrzyma spiralę impulsów elektrycznych, nim zawładną całym systemem.

Masz, czego chciałeś, pomyślał.

Gdy się wtedy odwróciła, jego zmysły wcale się nie ukoili, wręcz przeciwnie, rozszalały się. A gdy usłyszał jej gardłowy śmiech w reakcji na jakiś żart małej pacjentki, zrozumiał, jak wielki popełnił błąd.

Poza tym powinien zająć się innymi sprawami.

Na przykład wylać sobie wiadro zimnej wody na głowę. I tak też uczynił. Dosłownie.

Reszta dnia upłynęła mu na rozwieszaniu moskitier nad łózkami oraz na opiece nad pacjentami leżącymi jak najdalej od pacjentów eksmałżonki.

Dobrze by teraz było sobie udowodnić, że Tracy jest rzeczywiście eksmałżonką.

Nastał dopiero drugi dzień epidemii, a ona ledwie trzymała się na nogach. Na dodatek dokuczało jej gorąco. Potworne gorąco. A mieli już dwudziestu pacjentów, nie czterestu.

W szpitaliku nadal panowała duchota, mimo że Benowi udało się jakoś połączyć funkcjonowanie wiatraków ze spryskiwaczem drobnej mgiełki, jak w supermarketach nad stoiskami z warzywami. Trochę to pomagało, ale... nikt by nie powiedział, że jest tam chłodno.

W tej części świata rzadko bywa „chłodno”. Po prostu rozpieściło ją mieszkanie i praca przez większą część roku w São Paulo. Tutaj lepki równikowy upał wciskał się wszędzie. Benowi

też nie było lekko, bo teraz na co dzień pracował w klimatyzowanych pomieszczeniach, a nie w dżungli jak wtedy, kiedy się poznali.

Podali antybiotyk wszystkim pacjentom, ale się zorientowali, że mają niewielkie pole manewru. Stan tych, których zdiagnozowali po tym, jak nadeszła pomoc, i zaaplikowali im antybiotyk, był zdecydowanie lepszy niż tych, którzy zachorowali przed ich przyjazdem.

Mimo to byli zmuszeni walczyć dalej, podając kroplówki, robiąc zastrzyki, podając antybiotyk doustnie. Od ich przyjazdu odnotowano dwa zgony, ale przynajmniej Ben kazał zmyć te koszmarnie znaki nad łózkami.

Ku jej zdziwieniu Daniel, mimo że ciężko chory, nadal kurczowo trzymał się życia.

Spojrzała w kierunku Bena, który akurat robił zastrzyk pacjentce nieopodal. Gdy wrzucił strzykawkę do specjalnie przygotowanego pojemnika, przypomniała sobie, że należy sprawdzić zapas jednorazowych igieł. Zauważywszy ją przy łóżku Daniela, podszedł do niej. Skurczyła się jak zawsze w takich sytuacjach.

– Może byś się trochę zdrzemnęła?

– Nie muszę. Poza tym spałam dłużej niż ty.

W ciągu tych dwóch nocy słyszała, jak wstawał i wychodził na zewnątrz. Może nie mógł zasnąć jak ona?

Ale czyja to wina? To on zażyczył sobie, by przydzielono im jeden pokój, co wprowadziło Pedra w ogromne zakłopotanie.

Całemu personelowi wydano wojskowe hamaki, wcześniej konfiskując hamaki mieszkańców miasteczka razem ze wszystkimi tapicerowanymi meblami i zasłonami. Oздrowieńcy dowiadywali się, że ich rzeczy przepadły, że zostały zniszczone dla dobra całego São João dos Rios. Z tą decyzją Bena zgadzała się w stu procentach.

Oprócz problemu łóżkowego w miasteczku zaistniał problem z prywatnością, ponieważ prysznice zainstalowano na polanie, skąd na całą okolicę rozchodził się ostry zapach mydła bakteriobójczego. Ale nawet on nie tłumił ciepłego męskiego zapachu owiewającego ją co wieczór z hamaka, na którym spał Ben.

Sąsiadujące z sobą hamaki zawieszono na trzech hakach tak, że tworzyły literę „V”. Świadomość, że noc w noc ich stopy niemal się dotykają, był jedną z przyczyn jej bezsenności. Mimo zmęczenia całymi godzinami nie mogła zasnąć, dopóki Ben nie wymknął się z pokoju, a tak robił poprzednich dwóch nocy. Dopiero wtedy mogła się zrelaksować i zasnąć.

Odniosła wrażenie, że Ben ma zamiar ponowić apel, by się zdrzemnęła, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem, a ich uszu dobiegły podniesione głosy.

– Co takiego?!

Oboje pospiesznie wyszli na korytarz, by przypadkiem nikt nie wszedł do pokoju chorych. Okazało się, że żandarm klóci się małą dziewczynką wyglądającą na niewiele więcej niż sześć lat. Po umorusanej twarzyczce płynęły łzy, a kolorowe klapki były całe oblepione gliną.

– Co się tu dzieje? – zapytał Ben.

– Ta mała chce rozmawiać z lekarzem, chociaż jej powiedziałem, że tam nie wolno wchodzić.

– W porządku – odezwała się Tracy. – Wyjdę z nią na zewnątrz.

– Tracy... – Ben położył jej rękę na ramieniu.

Rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

– Ktoś musi z nią porozmawiać. Lepiej, żeby to była ja niż oni.

– Jak chcesz wyjść na zewnątrz, to przynajmniej zostaw tu maskę i rękawiczki.

– Nie omieszka. Dziecko, zaczekaj chwilkę.

Uwadze Bena nie uszło, że obserwuje go jeden z lekarzy wojskowych, więc go zapewnił,

że zaraz wrócą. Oboje zdjęli ubrania ochronne i starannie się umyli.

Gdy już na zewnątrz dziewczynka do nich podbiegła, zasłonił Tracy własnym ciałem.

Sapnęła poirytowana.

– Ben, proszę, ona nikomu nie zrobi krzywdy. – Pochyliła się nad dziewczynką. – Jak ci na imię?

– Miriam.

– Co chciałaś nam powiedzieć?

– Doktorzy?

– Tak, oboje jesteśmy lekarzami. Ktoś zachorował?

– Tak, moja mama. Jest chora od dwóch dni, ale mi nie pozwoliła nikomu o tym mówić, ale teraz... – Głos jej się rwał. – Ale teraz nie chce się obudzić, nawet jak próbuję nakarmić ją rosółem.

– Gdzie ona jest?

– W domu. Ale to daleko.

W głowie zadźwięczał Tracy pierwszy dzwonek ostrzegawczy.

– Jak daleko? – zapytała.

– W sąsiedniej wiosce.

Z przerażenia Tracy chwyciła Bena za rękę.

– Ma szansę wydostać się z São João? – szepnęła.

Nie! Podjęto wszystkie kroki ostrożności, a od przybycia wojska nikogo z miasteczka nie wypuszczano. Ale wcześniej?

Uściskała jej dłoń, po czym zwrócił się do dziewczynki.

– Czy twoja mama kaszle?

– Tak. Powiedziała, że to przeziębienie, ale ja się boję... – Pokazała ręką miasteczko objętą kwarantanną. – Słyszeliśmy, co się tutaj stało. Podobno wojsko rozstrzeliwuje wszystkich chorych. Musiałam się do was przekradać między strażnikami.

To prawda, że mieszkańcy wielu miejscowości nader podejrzliwie podchodzili do przedstawicieli władz, a ta nieufność niestety sprzyjała rozprzestrzenianiu się chorób, ponieważ miejscowa ludność ukrywała się z tym przed tymi, którzy mogli im pomóc.

Takimi jak ona, kiedy rzuciła Bena cztery lata temu? Nie, to nie to samo. Uśmiechnęła się świadoma, że ten uśmiech nie wypadł szczerze.

– Nikt tu do nikogo nie strzela.

– To czy pani pomoże mojej mamie?

Tracy zerknęła na dom, skąd jeden z żandarmów bacznie ich obserwował. Puszcza ją do tej wioski czy wyślą swoich? Trudna sprawa. Wolałaby niczego nie przenieść, ale im więcej osób się w to zaangażuje, tym więcej będzie miejsc skażonych.

– Tak, skarbie, pomogę. – Już miała ruszyć w stronę żandarma, gdy Ben ją zatrzymał.

– Tracy, co ty sobie wyobrażasz? – warknął.

– Słyszałeś, co Miriam mówi. Jej matka jest chora.

– Przez ciebie mogą ucierpieć wszyscy.

Zdrętwiała. Prawie ten sam komunikat przesłał jej przez wojskowych cztery lata temu. Kiwnęła głową w kierunku żandarma za ich plecami.

– Pójdę tam niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie. W każdej chwili możesz wysłać za mną swoich kumpli. Masz w tym wprawę.

– Tracy, przestań. Przecież wiesz, dlaczego ich tam wysłałem. Byłaś w ciąży.

Wiedziała doskonale. To był szósty tydzień, ale już wcześniej zaszczepiła się na żółtą febrę. Wzięła tydzień wolnego nie całkiem z powodu wioski, lecz z powodu wyników badań. Mimo to nadal bolała ją upokorzenie, jakiego wtedy doznała na widok mundurowych

wysiadających na plaży oraz świadomość, że nasłał ich jej własny mąż.

Mierzyli się wzrokiem. Teraz nie powinna jeszcze bardziej go do siebie zrażać. Złagodziła ton.

– Ben, zrozum, muszę zbadać jej matkę. Praca trzyma mnie przy życiu – wyrwało się jej.

– Trzyma cię przy życiu?

– Chciałam tylko powiedzieć, że praca jest dla mnie ważna.

Wpatrywał się jej w oczy, a ona modliła się w duchu, by nie wyczytał w nich strachu. Po chwili przeniósł wzrok na zalęknioną dziewczynkę.

– Okej. Pójdziemy oboje, ale musimy zachować ostrożność. Bierzymy antybiotyk, więc o nas bym się nie martwił, ale nie chciałbym, żebyśmy przywlekli tutaj coś nowego.

Stąd jego niepokój? Być może źle go oceniła.

– A ona? – zapytała po angielsku, by miała nie wiedziała, o czym rozmawiają. – Mogą jej stąd nie wypuścić, bo miała kontakt z chorobą.

– Pogadam z żandarmem i podam jej antybiotyk.

Biedne dziecko, nie zdaje sobie sprawy, że chcąc pomóc matce, może stać się więźniem. A gdyby okazało się najgorsze, że matka choruje na dżumę, mogłaby już nigdy jej nie zobaczyć.

Serce ścisnęło się jej z bólu. Matka Tracy zmarła, gdy ta przebywała w Brazylii, pół roku po ślubie. Podczas tej ceremonii matka nie miała pojęcia, że jest chora. Diagnozę poznała parę tygodni później, a umarła po kilku miesiącach. Tracy wyprostowała się i wraz z Benem podeszła do żandarma, który oświadczył, że musi się skontaktować z przełożonymi.

Godzinę później pod eskortą złożoną z czterech żołnierzy wyruszyli do wioski Miriam. Siedzieli z tyłu wojskowego pojazdu obładowani sprzętem i podręcznym laboratorium Bena. Modląc się, by nie sprawdziły się jej najgorsze obawy, pozwoliła Benowi otoczyć się ramieniem.

– Bronchit – orzekł Ben.

Z radości Tracy mało nie wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś pewien?

Siedział na stołku za domem i pod mikroskopem oglądał kolejne szkiełka.

– Ani śladu bakterii dżumy. Poza tym chora już nie śpi. Nie gorączkuje, a jedynym objawem jest obecność gęstej wydzieliny w oskrzelach. – Podniósł wzrok na Tracy. – Pewnie harowała do upadłego i dlatego Miriam nie mogła jej dobudzić. Tak czy owak, nie jest to dżuma.

– Dzięki Bogu. – Czując, że nogi się pod nią uginają, musiała oprzeć rękę na jego ramieniu.

– Hej, usiądź, bo upadniesz. – Nim się zorientowała, posadził ją sobie na kolanach. –

Przepraszam, ale nie ma drugiego stołka.

– To ja przepraszam za to, co powiedziałam. Że nasłałeś na mnie wojsko.

– Nie przejmuj się. Byłaś zdenerwowana.

Przygarnął ją mocniej, a ona poczuła, że należy mu się prawdziwe podziękowanie. Niemal bezwiednie zarzuciła mu ręce na szyję i go pocałowała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Musnęła wargami jego zarost.

Nie był pewien, czy to nie sen. Najpierw przeprosiny, potem całus. Jeśli ona go całuje, to on się postara nadać temu odpowiednie znaczenie. Wolną ręką odwrócił jej głowę tak, by spojrzała mu w twarz.

Wpatrywał się w jej błyszczące oczy i rozchylone wargi... Doskonale je pamiętał. Gdy opuścił głowę, a Tracy się nie cofnęła, a wręcz spotkała go w pół drogi, w jego mózgu trysnął gejzer radości.

Oboje ogarnął płomień.

Nie zważając na mikroskop i preparaty, nie przerywając kontaktu, posadził ją tak, że jej nogi znalazły się między jego udami. Ta zmiana pozycji sprawiła, że udem dotknęła jego wzbierającego przyrodzenia. Nagi instynkt podpowiadał mu, by natarł mocniej, ale heroicznym wysiłkiem woli się powstrzymał. Tulił tę kobietę cztery lata temu, więc nie zrobi nic, co by to mogło zniweczyć. Bał się, że przestraszona zeskoczyłaby mu z kolan. Zdawał sobie sprawę, że nie mogą się kochać za domem chorej wieśniaczki, ale postanowił dać sobie minutę, dwie, by się nią sycić.

Prawdę mówiąc, nigdy się nią nie nasyci. Zawsze będzie pragnął więcej, niż ona będzie skłonna mu dać.

Bez oporu się do niego przytuliła, gdy wsunął palce w jej włosy, przechylając głowę pod najdogodniejszym kątem. Gdy przylgnęła do niego jeszcze bardziej, poczuł, że lada chwila eksploduje. Ale resztkami samokontroli temu zapobiegł. Stary, zwolnij.

Zapragnął wszystko sobie przypomnieć, ale nagle zdał sobie sprawę, że niczego nie zapomniał, że pamięta ciepło jej ust, smak oraz jak drży, gdy oprócz języka użyje zębów. Jęknął cicho, a wtedy Tracy chwyciła go za włosy. Wyczuwał toczącą się w niej wewnętrzzną walkę. Sam walczył z sobą, więc pozwolił, by przejęła inicjatywę.

Niestety odebrała to jako sygnał, że ma się odsunąć. Jej urywany oddech wydał mu się niesamowicie erotyczny.

– Ben – wyszeptała po chwili z wargami nadal przy jego ustach. – Co my tu robimy?

Uśmiechnął się.

– To chyba oczywiste.

– Uhm. – To mruknięcie doprowadzało go do szaleństwa. Jak zawsze. – To pomyłka.

Wiesz o tym.

– Wiem. – Skubnął jej dolną wargę. – Ale to nie znaczy, że mi się nie podobało. Tobie też.

– Tak.

Od tygodnia marzył, żeby się z nią kochać długo i czule, a potem zasnąć w niej. Jak dawniej. Wiedział jednak, że to z przemęczenia. Oraz za sprawą tego czegoś przyciśniętego do jej uda domagającego się swoich praw, które starał się ignorować.

Sorry, kolego. Nie poszczęściło ci się.

– Musimy wracać – westchnęła, po czym wstała z jego kolan. – Myślę, że ze zmęczenia miesza nam się w głowach. Kiedy się wyśpimy, będziemy tego żałować.

Ona może tak, on nie, nawet gdyby spał tak długo jak Rip van Winkle. Po przebudzeniu znowu chciałby ją całować. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Na pociechę powiem ci, że masz rację. Bardzo mi się podobało. Pocałunki to twoja specjalność.

– To dlaczego zawsze tak się spieszyłaś, żeby wyjechać?

– Ben, proszę, nie teraz.

To samo powiedziała wtedy. Nie chciała o tym rozmawiać, chciała tylko jak najszybciej wyjechać.

– Wezmę leki z samochodu i wyjaśnię, jak ma je brać.

– Myślę, że skoro nie stwierdziliśmy tu dżumy, to nawet pozwolą Miriam wrócić do domu

– odparła Tracy. – Profilaktycznie podamy jej antybiotyki.

Wstawiając rzeczy do samochodu, marzył o profilaktycznej dawce czegoś, co uporządkowałoby chaos, jaki zapanował w jego emocjach, i pozwoliło mu wrócić na drogę normalności.

Normalność. Ha! Gdyby wynalazł na to pigułkę, zostałby milionerem.

Była na siebie wściekła. Pozwoliła mu się pocałować. W usta! Co gorsza, odwzajemniła ten pocałunek. Namiętnie. Jakby nie mogła się nim nasycić.

Przez jej niewinne podziękowanie w ułamku sekundy rozszalała się istna pożoga.

Chemia między nimi nie wygasła. Co do tego nie powinna mieć wątpliwości. Powinna była się na to uodpornić i nie dopuścić, by do czegokolwiek doszło.

To by jeszcze bardziej skomplikowało ich sytuację. Zwłaszcza teraz. Tak, nadal go lubi, ale to nie znaczy, że mogą albo powinni być razem. Nie życzyła sobie litości Bena. Najlepiej by było, gdyby oboje żywili wobec siebie zadawniony gniew, bo za tydzień lub dwa ich drogi znowu się rozejdą.

Leżąc już w hamaku, nadal marzyła, by wziąć go za rękę, dotknąć jego twarzy, całować go.

Niby dlaczego? To nonsens.

Na szczęście przed sobą miała jego plecy. Zasnął błyskawicznie, a ona zamiast spać, udaje że śpi. Tak jak udawała, że ten pocałunek to efekt stresu i wyczerpania. Gdy nieoczekiwanie się odwrócił, zacisnęła powieki, starając się oddychać miarowo i głęboko, mimo że serce waliło jej jak młotem. Usłyszała, jak westchnął, a chwilę później cicho zaklął.

Ciche stąpanie, kolejne przekleństwo, odgłos otwierania i zamykania drzwi. Jak przez trzy poprzednie noce. Otworzyła oczy.

Zniknął. Dokąd on wędruje każdej nocy? Do łazienki? Jeśli tak, to zaraz wróci. Zamiast się nad tym zastanawiać, powinna zmusić się do snu!

Niewykonalne.

Wpatrzona w drzwi czekała w bezruchu. Nie wrócił po kwadransie, jak poprzednio. Uznał, że nie da się spać w tym ciasnym i dusznym pokoiku? Ale tam, dokąd poszedł, też jest gorąco.

Czy ma to jakiś związek z tym pocałunkiem? Jeśli tak, to jak wyjaśnić jego zachowanie minionych nocy?

Zamknęła oczy i po raz kolejny próbowała zasnąć. Jutro będzie nowy dzień walki o życie pacjentów.

Jeszcze cały tydzień. Na tyle Ben oszacował czas potrzebny do opanowania epidemii. Więc jeszcze przez siedem długich dni będzie zmuszona walczyć z sobą, by nie wejść mu do łóżka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Kochanie, Cleo jest obok ciebie – przemawiała do Daniela, kładąc mu chłodny okład na rozpalono czoło. Wskazała na sąsiednie łóżko, gdzie Ben instalował stojak do kroplówki.

Chłopiec nareszcie odzyskał przytomność i od razu zapytał o siostrę. Dopytywał się o nią z takim uporem, że Ben w końcu ustąpił i zgodził się, by przestawiono łóżka tak, by rodzeństwo leżało obok siebie. Daniel był wprawdzie nadal ciężko chory, ale jego siostry choroba nie zaatakowała z taką mocą jak starszych pacjentów.

– Clee... – wyszeptał chłopiec, wyciągając rękę w stronę sąsiedniego łóżka.

– Ona tu jest, Danielu, ale teraz śpi. Musi dużo odpoczywać, żeby wrócić do zdrowia i nabrać sił. – Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. – Ty też powinienesz zasnąć. Jak się obudzisz, ona nadal tu będzie.

Jeśli się obudzisz.

Odsunęła od siebie tę myśl. Przez ostatnie dwa dni jego stan się pogorszył, jednak chłopiec zaciekle walczył. Ona też będzie walczyć, bo wróciła tu, by wyleczyć te dzieci wbrew rozkazom wojskowych... wbrew Benowi. I nie ustanie w tej walce. Jakby czytając w jej myślach, Ben stanął obok.

– Ty też powinnaś odpocząć. Wyglądasz na skonaną.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni. – Podniosła ramię, by otrzeć spocone czoło, ale Ben ją ubiegł. Uśmiechnęła się blado. – Po tygodniu człowiek już by mógł przywyknąć do tego upału. Stale podróżuję z biegiem Amazonki.

Oboje zamarli. Przypomniała mu się ta jej ostatnia brzemienna w skutki wyprawa?

Zarzucił jej wtedy, że zaniedbuje ich związek, że naraża na szwank zdrowie ich dziecka. Tak było? Zaślepią swoją misją, narażają się na ryzyko?

Nigdy się nie dowie, ale i tak już niczego nie dałoby się zmienić. Przez te wszystkie lata nękało ją poczucie winy.

– Masz do nich dobre podejście.

– Do kogo? – zapytała zaskoczona zmianą tematu.

– Do tych dwojga.

– Dbam o wszystkich pacjentów.

– Tracy, to nie zarzut, to tylko stwierdzenie.

Pod koniec małżeństwa poziom złości między nimi osiągnął taki pułap, że nawet teraz przepuszczała jego słowa przez filtr przeszłości. Powinna spróbować brać to za dobrą monetę. On chyba też powinien o tym pomyśleć.

Ze współczuciem powiodła wzrokiem po chorym rodzeństwie.

– Nie wyobrażam sobie, jak się będą czuli, kiedy się dowiedzą, że ich mamy nie ma. I że już nigdy jej nie zobaczą.

Sama głęboko przeżyła śmierć matki, ale spotkało ją to, gdy była dorosła.

– Czasem rodzic wcale nie musi umierać, żeby go brakowało – zauważył półgłosem Ben. Zerknęła na niego, ale on spoglądał za okno.

– Masz na myśli swoich rodziców?

Ben i jego brat Marcelo w dzieciństwie rzadko widywali rodziców, obaj z tego powodu nosili w sercach żal, który Ben wniósł do ich związku. Niemal zaraz po ślubie jej podróże stały się przyczyną kłótni.

– Tak.

Gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, była skłonna zrezygnować z dalszych wypraw, ale potem to się zmieniło. Ben przyjął to bardzo źle. Być może powinna była powiedzieć mu o tym wcześniej, ale jeszcze nie doszła do siebie po śmierci matki i siostry.

Przeniósł na nią wzrok.

– Nie. Tak ogólnie...

Kłamał, ale w ten sposób łatwiej zmienić temat.

– Zapomniałam zapytać o Rosę. Co u niej słyszać?

– W porządku. Nadal u nas pracuje. – Leciwa gospoia, która wcześniej owdowiała i nie wyszła po raz drugi za mąż, praktycznie wychowała obu chłopców. Nic dziwnego, że Ben ją zatrzymał. To był drugi powód kłótni.

Chodziło o to, że Ben nie zgadzał się, by Rosa zajmowała się ich dzieckiem. Początkowa euforia z powodu ciąży nie trwała długo.

– Tęsknię za Rosą – westchnęła.

– Ona na pewno też za tobą tęskni.

A ty, Ben? Czy czasami ci mnie brak?

– Nie spiesz się tak. Jesteś bardzo osłabiony.

Tracy i Pedro, podtrzymując Daniela, oprowadzali go po polanie, by zapobiec powstaniu zakrzepów żylnych po tylu dniach leżenia w łóżku. Jeszcze wczoraj nie byli pewni, czy chłopak przeżyje, ale organizm dwunastolatka zaciekle zwalczał chorobę, która według podręczników medycyny powinna go zabić.

– Mmoja siostra... – wykrztusił Daniel.

– Cleo jest w kantynie. Masz sporo do nadrobienia – zażartowała Tracy. – Myślisz, że masz ochotę na trochę bulionu?

– Wolałbym *beiju*.

Beiju to popularny w północnowschodnich regionach Brazylii placek z mąki maniokowej.

Pedro pokręcił głową.

– Dzisiaj lepiej się trzymajmy bulionu.

Daniel się skrzywił.

– Ani nawet ryżu z fasolą?

– Niedługo. – Tracy się uśmiechnęła. – Za dzień albo dwa. – Chłopiec wyraźnie posmutniał.

Gdy weszli do namiotu, w którym znajdowała się kantyna, od jednego ze stołów ktoś im pomachał. Cleo.

– Danielu, obudziłeś się! – zawołała uradowana.

Było to pierwsze od tygodnia spotkanie rodzeństwa poza salą chorych. Dziewczynka zarzuciła bratu rączki na szyję i się rozplakała. Chwilę później przed Danielem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się kubek z bulionem. Przed Cleo, która szybciej zdrowiała, stał talerz z czarną fasolą i ryżem. I, jak podejrziała Tracy, kawałkiem pieczonego banana. Sama chętnie zjadłaby coś takiego, więc mogła sobie wyobrazić, co czuje Daniel, ale on posłusznie sięgnął po łyżkę i ostrożnie spróbował bulionu. Już po pierwszym łyku miał minę, jakby podano mu najdroższy kawior.

– Smakuje?

Przytaknął.

– Pójdę zająć kolejkę, zanim zamkną – powiedział Pedro. – Co ci wziąć?

– Ja już niosę jedzenie dla Tracy – odezwał się głos za jego plecami, a przed Tracy stanęła taca z bielusińskim plackiem *beiju* ociekającym masłem oraz fasolą z ryżem. I całym pieczonym bananem!

Obserwowała, jak Ben, nie spuszczać wzroku z Pedra, stawia obok niej tacę. Wzruszyła przepaszając ramionami.

– Pedro, weź coś sobie, zanim zabraknie. Zobaczymy się później, okej?

Gdy Ben usiadł, z niezadowoleniem stwierdziła, że od rana czekała na tę chwilę.

– Powinieneś siedzieć tam, gdzie jest wyznaczone miejsce dla lekarzy – upomniała go, natychmiast tego żałując. Ani słowa powitania czy podziękowania. Super.

– Hm. Ty też. Zobaczyłem, jak wchodziliście i pomyślałem, że może byś chciała usłyszeć, jak wygląda nasza sytuacja.

Nasza sytuacja? Aha, sytuacja miasteczka. To nie jest aluzja do tego katastrofalnego pocałunku.

– Rozmawiałeś z oficerami?

– Chcieli poznać opinię cywila, bo generał Gutierrez, który tu przyjechał, otrzymał już raport lekarzy wojskowych. Reputacja armii to bardzo delikatna sprawa.

– Od kiedy? – Za późno ugryzła się w język. – Przepraszam, to było nie na miejscu.

Puścił to mimo uszu, zwracając się do chłopca.

– Danielu, jestem zaskoczony, że cię widzę poza łóżkiem.

Cleo zamrugła.

– A ja? Nie jest pan zaskoczony, że mnie widzi?

– Oczywiście. I bardzo się z tego cieszę. – Potargał jej czuprynkę, budząc śmiech dziewczynki.

Tracy słuchała go ze ściśniętym sercem. Ten człowiek ma kapitalne podejście do dzieci. Powinien mieć ich całą gromadkę.

– Nie słyszałam o żadnej naradzie. Dlaczego mnie nie wezwano? – Nie czuła się urażona, ale chciała jak najszybciej przestać myśleć o Benie i jego dzieciach. Bo była przekonana, że jej pierwsza ciąża będzie ostatnią.

Odwrócił wzrok.

– Chciałem, żebyś pospała trochę dłużej.

Faktycznie, nikt jej nie obudził, gdy nadeszła pora jej dyżuru. Ben to dobry człowiek. Zasłużył na zdecydowanie więcej, niż mogła mu wtedy dać.

– Dziękuję – wykrztusiła. – Nie było cię, jak się obudziłam.

– Bo ja wcześniej wstaję. Od zawsze.

To prawda. Ale dawniej nie opuszczał jej łóżka w środku nocy i już nie wracał. Może teraz nocuje gdzie indziej? Zagotowało się w niej. Rzuciło się jej w oczy, jak kilka dziewczyn w mundurach wodzi za nim wzrokiem. Ale chyba...

Westchnąwszy, Daniel dopił bulion. Bardzo chciała się dowiedzieć, o czym mówiono na spotkaniu, ale też nie zapomniała o pacjentach.

– Gotowi wracać do łóżek?

Daniel pokręcił głową.

– Mogę tu zostać trochę dłużej? – poprosił. – Męczy mnie to leżenie. I chcę porozmawiać z Cleo. – W jego głosie zabrzmiała nuta smutku. Nietrudno było się domyślić, co go nurtuje. Co się z nimi stanie już po wszystkim?

Tracy przytaknęła.

– Przesiadzimy się do innego stołu, żeby wam nie przeszkadzać, okej? Pomachajcie do mnie, jak będę wam potrzebna, to do was podejść.

Wstali, ale Ben poprowadził ją do innego stołu niż ten, przy którym siedział Pedro. Na szczęście jej pomocnik był pochłonięty rozmową z lekarzem wojskowym. Może nie zauważył?

– Jedz i mów, czego dowiedziałeś się na odprawie.

– Zacznę jeść, jak ty zaczniesz.

Przez kilka minut jedli w milczeniu.

– No więc? O czym rano rozmawialiście? – Czekwała na relację, ale się nie doczekała.

– Coś mi powiedz – odezwał się Ben.

Zesztywniała. To przecież on miał ją o czymś poinformować, nie ona jego. Jeżeli zapyta, dlaczego odeszła, nie będzie wiedziała, co powiedzieć.

Tak, zawiódł jej zaufanie, tak, powinien był przyjechać sam, a nie udawać, że to wojsko nie życzy sobie jej obecności w tamtej wiosce. Ale powody jej odejścia były bardziej złożone.

– Myślałam, że porozmawiamy o porannym spotkaniu.

Nie udało się jej zmienić tematu.

– Dlaczego nie zażądałaś rozwodu? Mogłaś przecież poznać kogoś, kto kocha pracę tak bardzo jak ty. – Jego wzrok powędrował do stołu, przy którym siedział Pedro.

– Już... już ci mówiłam. Przebywając w Brazylii, trudno występować o rozwód w Stanach.

– Mam przez to rozumieć, że przez cztery lata nie znalazł się nikt, z kim chciałabyś spędzić resztę życia?

– Jeśli chodzi ci o Pedra, to tylko pracujemy razem. – Po Benie nikt jej nie interesował. – Nie miałam czasu na złożenie pozwu. Musiałabym polecieć do Nowego Jorku. – Wolałaby rozmawiać o nim. – Dlaczego ty nie wystąpiłaś o rozwód?

– Drugi raz nie zamierzam pójść tą drogą.

Odezwało się w niej poczucie winy? To przez nią? Była taką okropną żoną, że mu się odechciało na zawsze? Uważała wtedy, że bez niej będzie szczęśliwszy, że znajdzie kogoś, kto mu da to, czego ona mu nie dała.

– Uhm. Ale w przyszłości...

– Wątpię. – Odłożył sztućce.

– Ben, w końcu byś mnie znienawidził. Oboje to wiemy. Lepiej, że odeszłam. – Niezależnie od kwestii wadliwego czy niewadliwego genu, od początku inaczej patrzyli na jej pracę.

Ale czy podróżowałyby aż tyle, gdyby nie strach?

– Tracy, nigdy cię nie nienawidziłem. Uważam, że należało mi się coś więcej niż list na biurku.

Racja. Zostawiła mu szczegółową, pełną gniewu listę wszystkiego, co jej przeszkadzało w ich związku. Po części z powodu bezsilności wywołanej wynikami badań, ale w największej mierze z powodu poczucia winy, że tak strasznie go zawiódła. Nie stać jej było na odwagę, by mu powiedzieć prosto w oczy, że między nimi skończone.

– To prawda, przyznaję. Niewiele to pomoże, ale zмагаłam się z czymś więcej niż ciążą.

– Miałaś problemy w pracy?

– Nie. – Już miała wyznać prawdę, gdy z drugiego końca namiotu pomachał do nich Daniel. To ani czas, ani miejsce na roztrząsanie zaszłości. Teraz na szali przeważa życie pacjentów. – Muszę iść. Ben, już nic nie mogę zmienić. Mogę cię tylko przeprosić.

– Uhm. Ja też przepraszam.

Idąc do stołu Daniela, uprzytomniła sobie, że w końcu nie dowiedziała się, o czym rozmawiano na porannej odprawie.

W tej chwili było to jednak nieistotne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W nocy stracili kolejnego pacjenta, a teraz to.

– Mamy tu zostać jeszcze tydzień po tym, jak wyzdrowieje ostatni pacjent?! – wybuchnęła Tracy. – Chyba żartujesz! Nie mogę zostawić biura na tak długo.

Jej praca. Wszystko zawsze do tego się sprowadzało.

Może jednak coś jeszcze? Wspomniała o innych niż praca problemach, które miała na głowie w trakcie trwania ich związku. Zachodził w głowę, o co mogło chodzić.

Jedyne, co mu się nasuwało, to pocałunek sprzed kilku dni. Nie potrafił o nim zapomnieć. Jego wspomnienie nękało go noc w noc. Wyganiało z hamaka na korytarz. Męczył go potworny ból pleców, ale nie mniejszy doskwierał w innej części ciała.

– Wojskowi chcą mieć absolutną pewność, że epidemia wygasła, więc przedłużyli okres kwarantanny. – Ściągnął brwi. – Objęli kwarantanną również wioskę Miriam, ponieważ tam pojechaliśmy.

– Będziemy tu siedzieć z założonymi rękami – mruknęła, spoglądając na kilka zajętych łóżek.

Słuszna uwaga. Gdy wyzdrowieje ostatni pacjent, zniknie ryzyko zarażenia przez kontakt.

– Ben, w wiosce Miriam mieliśmy maski.

– Nie przez cały czas.

Zaraz przed i w trakcie tego zabójczego pocałunku.

– Nikt nas nie widział – powiedziała, zniższy głos.

– Mylisz się. – Jej oczy zrobiły się okrągłe. – Ktoś doniósł o tym generałowi.

– Myślałam, że jest twoim kumplem.

– Przyjaźnimy się, ale on surowo trzyma się regulaminu.

– Doświadczyłam tego na własnej skórze – mruknęła. – Posłuchaj, nie mogę tu tkwić w nieskończoność. Moja komórka nie ma zasięgu, więc nawet nie mogę nikogo w biurze zawiadomić, że zostanę tutaj dłużej. Przynajmniej Pedro powinien tam wrócić.

Od wczoraj nie widział jej pomocnika. Celowo schodzi im z drogi? Niby dlaczego?

– Nikogo stąd nie wypuszczą i na twoim miejscu bym się nie stawiał.

– Ty to załatwiłeś?

– Tracy, popukaj się w czoło. To nie ma żadnego związku z tobą ani ze mną.

Na moment zamknęła oczy.

– Masz rację. Przepraszam.

Niewykluczone, że jest jej przykro.

– Spróbuję poprosić generała, żeby skontaktował się z twoim biurem. Na pewno mają telefonię satelitarną. – Dotknął jej ręki. – Być może nie powinienem był cię tu zabierać, sam nie wiem. Naprawdę nie manipuluję sytuacją ani jeszcze bardziej jej nie komplikuję. Mnie to nie odpowiada tak jak tobie. Czeka na mnie laboratorium, mam zobowiązania. Tak długo Mandy sama sobie nie poradzi.

– Ben, doceniam, że mogłam tu przyjechać, wierz mi. – Jej ton wyraźnie złagodniał. Zawahała się, po czym ujęła jego dłoń. – Ta sytuacja jest... niezręczna. Dla mnie i dla ciebie. Przepraszam. – Chciała cofnąć, dłoń, ale mocniej zacisnęła palce.

– Niezależnie od wszystkiego, miło było znowu cię spotkać – wyrwało mu się, a sądząc po jej reakcji, to wyznanie zaskoczyło ją w równym stopniu co jego.

– Wzajemnie.

No więc jakie były te jej inne problemy?

Nie liczył na odpowiedź. Dowie się, kiedy Tracy do niej dojrzeje. Bo coś ukrywa.

Na pewno musi zrobić wszystko, by ponownie się w niej nie zakochać, bo wtedy znowu będzie żył niepewnością, czy jeżeli Tracy wróci, to na dobre. Możliwe, że ma osobowość cierpiętника, ale jeszcze nie zgłupiał. Co zatem robić?

Po pierwsze, może podejść do tego naukowo. Jak w laboratorium, gdy nie wie, co ma pod mikroskopem. Wykorzystuje barwniki, wirówki, kultury bakteryjne, aż pozna sekrety próbki. Nauczono go wszechstronnego podejścia do tematu.

Nie puszczać jej dłoni, spojrzeć Tracy w oczy. Tak, sondować, oglądać i badać. Czyli całować, aż wydobędzie z niej wszystkie tajemnice.

Wtedy jego rozszalałe emocje doznają ukojenia.

Niebiańska kąpiel.

Zanurzyła się w chłodnej pachnącej wodzie. Westchnąwszy, oparła głowę o brzeg wanny. Jakimś cudem Ben postarał się, by za domem ustawiono okazałe niebieskie zbiorniki z wodą od reszty świata oddzielone składanym parawanem. Skądś nawet wytrzasnął szampon z prawdziwego zdarzenia.

Nie odważyła się rozebrać do naga, ale nawet w bieliźnie czuła się luksusowo. Co więcej, Ben stanął na straży przed parawanem, by nikt jej nie zaskoczył.

Dlaczego to robi? Skąd wytrzasnął ten zbiornik?

Gdy ona skończy, Ben wejdzie do tej samej wody, ale już bez bąbelków. Chyba że zdecyduje się ponownie napełnić tę „wannę”. Ale on troszczy się o środowisko i na pewno się nie zgodzi na takie marnotrawstwo. Albo...

O co chodzi? Przecież jest ubrana. Stroje na brazylijskich plażach są bardziej odważne. Poza tym Ben już widział ją całkiem rozebraną.

Na pewno jest mu potwornie gorąco, bo czuwa nad jej prywatnością w pełnym słońcu. A woda jest taka chłodna...

– Ben?

– Taa...?

– Pomyślałam, że jeśli chcesz... Jak wyjdę, ta woda już nie będzie taka czysta, więc czy chcesz...? – Nic więcej nie przeszło jej przez gardło.

– Słucham? – Wysunął głowę zza parawanu.

– Dopóki jesteśmy ubrani, możemy razem się wykapać. – Wyjrzała ze zbiornika. – Jak cię znam, nie zmienisz sobie wody.

– Poradzę sobie – burknął.

Na widok potu spływającego mu po twarzy odezwały się w niej wyrzuty sumienia.

– Nie wygłupiaj się. Nie zgrywaj męczennika. Zasłużyłeś na przerwę. Poza tym się ochłodzisz.

– Wątpię. – Mimo to wszedł za parawan.

– Popatrz na swoją koszulę. Cała mokra. Zaraz zaczniesz parować. – Nie napomknęła, że zawsze ją podniecał widok spoconego ciała męża. Ojej, może to błąd? Ale już się nie wycofa, by nie uznał jej za tchórza.

– Jesteś badaczem... – wymruczał pod nosem – więc badaj.

– No chodź. Bo mam wyrzuty sumienia.

– Chcesz, żebym to ja się czuł winny, jak odmówię? – Na jego wargach igrał leciutki uśmiech.

– Owszem.

Gdy zaczął rozpinąć koszulę, wstrzymała oddech.

Okej, nie do końca to przemyślała. Ale gdyby rozebrał się po drugiej stronie parawanu, to i tak ukazałby się jej nagi. Wsunął palce pod pasek spodni.

– Jesteś pewna?

– Pod warunkiem, że coś na sobie zostawisz.

– To zależy, czy chodzi ci o ubranie, czy o coś innego.

O kurczę. Dawniej, żeby zrobić jej na złość, czasami nie wkładał majtek. Nigdy nie wiedziała, co zobaczy, gdy Ben zdejmie wieczorem dżinsy. Serce jej łomotało, kiedy rozpiął spodnie, ale doznała rozczarowania, ujrawszy pod spodem ciemne bokserki.

– Nie widzę powodu, żeby jeszcze bardziej się rozbierać – oświadczył, jakby czytał w jej myślach.

Hm, nie ma z kim tego robić, przeszło jej przez głowę. Los jest niesprawiedliwy. Oto monogamiczny facet, który powinien żyć w stałym związku. Był wspaniałym mężem, fantastycznym kochankiem i byłby cudownym ojcem.

– Jesteś ubrana pod tą pianą?

– Chyba trochę za późno o to pytać. – Strzeliła ramięczkiem biustonosza. – Oczywiście. Inaczej bym cię nie zapraszała.

Skończona idiotka. Ale gdy jednym zwinnym ruchem wśliznął się do wody, nie potrafiła obudzić w sobie żalu z powodu tego zaproszenia.

– Przyjemnie? – zapytała, zanurzając się powyżej linii biustonosza.

– Szkoda, że nie pomyślałem o tym dużo wcześniej.

– Słucham?

Uśmiechając się, potrząsnął głową.

– Nic takiego. Taa... bardzo przyjemnie. – Zwiesił ramiona poza wannę i zaczął się jej przyglądać. – Jak minął dzień?

– Męczący. A tobie?

– Ciekawy.

– Generał zwołał kolejną naradę? – Jeżeli Ben znowu jej na nią nie zabrał, będzie naprawdę zła. To są także jej pacjenci. I to ona stawiała się w São João dos Rios jako pierwsza, gdy wszczęto alarm.

– Nie, ale o ile wiem, plan działania nie uległ zmianie. – Zanurzył dłonie w wodzie, by obmyć twarz, ale niedokładnie spłukał z brody pianę.

Kiwnęła głową, by mu zwrócić na to uwagę, a on otarł twarz ramieniem, po czym wrócił do poprzedniej pozycji. Tracy aż się skurczyła, żeby go nie dotknąć.

– Mówisz, że ten dzień był interesujący. Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Przeprowadziłem kilka badań.

– Nad naszymi przypadkami?

– Właśnie.

Słowo „przypadek” ostatnio pada nader często, zwłaszcza z jego ust, pomyślała.

– Doszedłeś do jakichś wniosków?

– Jeszcze nie, ale niedługo dojdę.

Wpatrywał się w nią przenikliwie, jakby spodziewał się coś z jej twarzy wyczytać.

Odkaszlnęła.

– Danielowi nieco się poprawiło. Jeszcze kilka dni, a będzie można go wypisać. Cleo mówi, że jeszcze trochę boli ją głowa, mimo że już nie powinna.

– Hm... zbadam ją. Myślałem o nich. O Danielu i Cleo. Umiesz nawiązać z nimi kontakt.

– Już ci mówiłam, że zawsze staram się dbać jak najlepiej o pacjentów.

– Wiem.

– Nie mogę pogodzić się z myślą, że ich matka...

– Trace, mnie też jest przykro. – Gdy się poruszył, jego stopa dotknęła jej kolana. Gest pocieszenia? Bo siedzi za daleko, by jej dotknąć. Wanna zwężała się ku dołowi, więc choć wiedziała, dlaczego to zrobił, zadrżała. Mimo to odwzajemniła ten gest, by mu pokazać, że rozumiała.

– Dzięki.

Spodziewała się, że Ben cofnie stopę, ale on nadal się w nią wpatrywał. Czego od niej oczekuje? Gdy jego stopa zsunęła się tak, że dotykała jej kostki, wstrzymała oddech. Zrobił to rozmyślnie?

Chwilę później coś dotknęło jej drugiej nogi. Nie, teraz to nie przypadek.

Piana w zbiorniku opadała w zastraszającym tempie. Wkrótce będzie widać, co jest pod wodą. Więc powinna umyć głowę i zmykać albo...

Czy wystarczy jej odwagi? I jak daleko pozwoli mu się posunąć?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Była w rozterce. Ben obserwował zmiany zachodzące na jej twarzy, gdy dotknął jej drugą nogą: zdziwienie, zrozumienie, niepokój i w końcu niepewność.

– Tracy... – Pochylił się, wyciągając do niej rękę. – Zdaję sobie sprawę, że nie przyszło ci łatwo tu przyjechać, pracować ze mną. Nie byłem nawet przekonany, że chcę, żebyś tu była. Ale podjąłem słuszną decyzję.

Słuszna decyzja. A to, co teraz robi?

Nie miał pojęcia, czy to słuszne, czy nie, ale gdy zaprosiła go do wanny, przyszło mu do głowy, że dążyła do tego od początku. Zauważył, jak pożerała go wzrokiem, gdy się rozbierał. Wyczytał w nim błysk pożądania. Dobrze go pamiętał z czasów, kiedy byli razem.

Pytanie, czy powinien przekraczać pewne granice? Tracy jest osłabiona i zmęczona. Sama się do tego przyznaje. Wolno mu wykorzystać okazję?

Już miał cofnąć rękę, gdy go zaskoczyła, podając mu dłoń.

– Wiem. Ta też jest słuszna.

Bez słowa podciągnęła się bliżej, oplatając go udami. A wtedy tętniąca w jego żyłach krew przytłumiła nurtujące go pytania natury moralnej. Tym jednym posunięciem Tracy pokazała, że go pragnie. Przynajmniej miał taką nadzieję.

– Kiedy wracasz do pracy?

– Dopiero jutro. – Jej wzrok błędził po jego wargach.

Dopiero jutro. To znaczy, że cała noc należy do niego. Odetchnął głębiej.

– Wiesz co? Szkoda, że nie postawiliśmy takiej wanny w naszym ogródku za domem. To prawie jak basen. Problem w tym, że ciągle jesteś za daleko.

– Tak? Jestem w pół drogi. Teraz chyba kolej na twój ruch.

Przysunął się bliżej.

– Lepiej?

– O wiele lepiej. – Z uśmiechem pogładziła go po ramionach, a on oplótł ją nogami.

– Już jesteśmy blisko. Co teraz?

– Chyba nie musisz pytać?

– Nie muszę, ale wolałbym się upewnić, że myślimy o tym samym.

– Zdecydowanie o tym samym.

To mu wystarczyło. Całując ją, pomyślał, że nadal trzyma się swojego planu. Że analizuje każdą informację. Ale trwało to nie dłużej niż dwie sekundy. Potem górę wziął instynkt, odbierając mu jasność myślenia. Wcześniej miał nadzieję, że uda mu się zorientować, czy dawna fascynacja wygasła, czy nie.

Nie wygasła. Teraz ta fascynacja nalegała, by za dużo myśląc, wszystkiego nie popsuł.

Więc przestał myśleć. Gdy wczepił palce w jej włosy, jęknęła. Dobrze to znał. Władza zawsze ją podniecała.

Jego władza nad nią. Przynajmniej ona tak uważała. W rzeczywistości sama chciała mieć kontrolę nad swoim życiem, a jemu nie pozostawało nic innego, jak to akceptować. Ale w sypialni role się zmieniały.

– Ben...

Mimo że minęły cztery lata, odkąd po raz ostatni słyszał ten chrapliwy szept, teraz podniecał go tak samo jak wtedy. Skubiąc zębami jej ucho, wolną rękę powoli przesunął po jej plecach. Jednym ruchem rozpiął jej biustonosz. Jęknęła cicho, ale nie mogła się ruszyć, bo drugą

ręką odchylił jej głowę, by przywrzeć językiem do żyły rytmicznie tętniącej na jej szyi.

– Chcę cię – wyszeptał. – Powiedz „tak”.

– Tak. – Oblizwała wargi.

Rozgarnął pianę, by spojrzeć na jej piersi.

– Piękne. Skarbie, uklęknij. – Zlizał stróżkę wody z jej obojczyka, po czym zajrzał jej w oczy. – Tracy, poproś.

W odpowiedzi wezbraną piersią musnęła jego wargi.

– O tak, tak lubię.

Gdy pieścił jej pierś, znieruchomiała. Ofiarował jej to, czego pragnęła. Ta świadomość dawała mu ogromną satysfakcję. Powolnym ruchem zsuwał dłonie po jej plecach, by na koniec wsunąć palce pod jej figi. Targnęło nim pożądanie. Czując, że jest u kresu wytrzymałości, wsunął jeden palec, potem następny do tak dobrze znanego miejsca. Podtrzymując Tracy drugą ręką, sycił się jej przyspieszonym oddechem.

Już był gotowy. Nawet więcej niż gotowy.

Jak za dawnych lat, jęcząc cicho, zastygła w bezruchu, po czym eksplodowała, zaciskając się na jego palcach. W ułamku sekundy posadził ją na swoim wezbranym członku. Kurczę, jak za dawnych dni. Oraz nocy. Ale tym razem jeszcze lepiej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Katastrofa. Te wczorajsze ekscesy w wannie.

Stała przed niewielkim lustrem w łazience, spoglądając na swoje piersi. Prawdę mówiąc, unikała tego od lat. Ale wczoraj dały jej tyle rozkoszy...

Do tej pory udawała, że nie istnieją, ale Ben jej o nich przypominał. Jak długo jeszcze będzie uciekała?

Wcale nie ucieka. Kiedyś w to wierzyła. A teraz?

Powinna mu powiedzieć. Teraz, kiedy gniew wygaśł, powinien usłyszeć, z czym przyszło jej kiedyś się borykać. Dlaczego? Już nie wyniknie z tego nic dobrego, bo ich drogi się rozeszły. Ma mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, co Ben zrobił? Że jej dotykał?

Nie. Chce, by ją zapamiętał tak, jak ona go zapamięta. Jako przyjemny incydent, który nie powinien się powtórzyć. Potrząsnęła głową. Nie pora na roztrząsanie tego, jak im było razem dobrze oraz rozmyślanie o trudnej przeszłości. Pod koniec ich małżeństwa Ben był bardzo nieszczęśliwy.

W jakim stopniu się do tego przyczyniła? Bo stała się widmem, które boi się gdzieś zagrać miejsce? Które już po dwóch tygodniach dusiło się w czterech ścianach ich domu. Więc jak mogła dopuścić do tego, co się wczoraj stało? Nie miała pojęcia.

Mimo że bez trudu potrafiła wyliczyć litanię argumentów, że źle się stało, nie potrafiła się zmusić, by żałować tych chwil. Od dawna czuła, że już z nikim nie połączy ją takie uczucie jak z Benem. Teraz miała tego absolutną pewność.

Czyli że to już nie powinno się powtórzyć.

Stając tyłem do lustra, ubrała się pospiesznie. Jak zwykle czuła się jak oszustka. To jeden z powodów, by coś zrobić. Całkiem co innego zmienić swoje postępowanie. Zwłaszcza że od czterech lat dobrze jej służyło. Przynajmniej... do teraz.

Gdy zaszła do prowizorycznego szpitala, Daniel ze zwieszoną głową siedział na krześle przy łóżku.

Przykucnęła przed nim.

– Danielu, co się stało? Coś cię boli?

Pokręcił głową, ale pozycji nie zmienił.

– To o co chodzi?

– Dokąd my pójdziemy? – zapytał tak cicho, że nie była pewna, czy go zrozumiała.

– Słucham?

Rozejrzał się po pokoju, w którym większość łóżek była już pusta. Świeżo zaścielone czekały na nowych pacjentów. Być może niepotrzebnie.

– Tutaj był... nasz salon, zanim mama... – Ciężko westchnął. – Gdzie się z Cleo podziejemy?

Serce jej pękało. Ona zamartwia się incydentem z Benem, podczas gdy Daniel i Cleo będą zmuszeni radzić sobie w życiu bez matki, jedynej bliskiej osoby, jaką mieli. Ponieważ nikt nie znał nikogo z ich krewnych, a ich dom przekształcono w tymczasowy szpital, po wyzdrowieniu nie mieli gdzie się podziać. Po zakończonej kwarantannie wojsko zapewne przewiezie ich do państwowego sierocińca, ale wcześniej? Do miasteczka nikogo nie wpuszczano ani z niego nie wypuszczano.

Mogliby zostać w swoim domu. Ale gdzie? Wszystkie pokoje były zajęte albo przez personel medyczny, albo przez wojsko. Nawet Pedro się tu przeprowadził, żeby być razem

z lekarzami wojskowymi.

Zamyśliła się. Ben powtarza, że leży mu na sercu los tych dzieci. To będzie dla niego próba.

– Możemy poprosić o dwa dodatkowe hamaki w pokoju, w którym śpi doktor Almeida i ja. Dopóki nie wymyślimy czegoś lepszego.

Mogłoby to trochę za bardzo przypominać rodzinę. Mimo wszystko nie chciała ich łudzić, że już zawsze będą razem. Bo na to się nie zanosilo.

Nie miała pewności, czy Ben będzie zachwycony, dzieląc pokój z nastolatkiem i dziewczynką, zwłaszcza po tym, jak się do niej rano uśmiechnął. Tę noc po raz pierwszy od przyjazdu do São João do Rios przespał w swoim hamaku. Z powodu tego, co zrobili?

– Czy wojsko pozwoli nam wyjechać z wami? – zapytał Daniel.

– Nie widzę powodu, dlaczego nie mieliby wam pozwolić, ale najpierw musicie wyzdrowieć. – Co więcej mogła powiedzieć? Nie pozwoli, by Daniel i Cleo znaleźli się na ulicy albo żeby koczowali w opuszczonych domach. Jeszcze trzy tygodnie temu te dzieci miały matkę i dach nad głową. Ale to już przeszłość.

Sama też przez to przeszła. Musi im pomóc, na razie choćby jako zastępcza matka. Jak to zrobić, zanim wyjedzie do São Paulo?

W tej chwili wołała o tym nie myśleć.

Gdy do pokoju wszedł Ben, z przerażeniem zobaczyła, że Daniel szeroko się uśmiecha.

Daniel, nie! Jeszcze nie. Daj mi z nim najpierw porozmawiać. Ledwie to pomyślała, Daniel palnął:

– Tracy powiedziała, że jak wyzdrowiejemy, możemy zostać z wami.

– Tak? – Ben wysoko uniośł brwi. – Tak powiedziała? Kiedy?

– Przed chwilą. Mówiłem, że nie mamy gdzie się podziać, a ona powiedziała, żebyśmy zostali z wami. Cleo bardzo się martwiła. – Zamrugał powiekami, jakby trudno było mu o tym mówić. – Oboje się martwiliśmy... co z nami będzie. Gdyby chcieli nas rozdzielić...

– Tracy, domagam się wyjaśnień – zdenerwował się Ben.

– Ja... hm... Powiedziałam, że postaramy się coś wymyślić.

– Postaramy się coś wymyślić – przedrzeźniał ją Ben.

– Żebyśmy z Cleo nie zostali sami. – Daniel nie przestawał się uśmiechać. – Żebyśmy byli razem.

Nie! Daniel nie zrozumiał jej intencji. Ben się wścieknął.

– Cieszę się, że Tracy ma taki plan. – Podeszedł do niej. – Danielu, pozwól, że na chwilę ci ją zabiorę.

– Nie ma sprawy. Muszę przekazać Cleo dobrą wiadomość. Teraz jeden z doktorów pomaga jej chodzić. Zaraz tu wróci.

W tej samej chwili do pokoju weszła Cleo i jej towarzysz.

– Tracy, pozwól. – Kiwnąwszy głową w stronę drzwi, dał jej znak, by szła za nim.

– Danielu, powiedz Cleo, że niedługo wrócę, żeby was zbadać – powiedziała ze sztucznym uśmiechem.

Mimo niezadowolenia Bena dziękowała Bogu za tak szybki powrót do zdrowia tych dzieci.

Podwójny cud w oceanie smutku.

W sumie stracili czternastu pacjentów. To istotny procent populacji miasteczka, które bez pomocy państwa już się nie podniesie, a to by oznaczało przesiedlenie wszystkich do innych miejscowości i zrównanie z ziemią domostw. Trudno będzie im zapomnieć, co się tutaj stało.

Ona też tego nie zapomni.

– Może mi wyjaśnisz, o co chodzi? – warknął Ben, wyciągnąwszy ją na dwór. – Chcesz,

żebyśmy wyjeżdżając stąd, ich zabrali? To nie takie proste, bo nie mieszkamy w tym samym domu. Ani nawet w tym samym stanie.

– Nie, nie. Daniel źle mnie zrozumiał. Miałam na myśli tylko São João dos Rios. Że jak wyjdą ze szpitala, to znajdą tu jakiś pokój. – Chwyliła go za rękę. – Nie mają dokąd pójść. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć.

– Więc zasugerowałaś, że mogą zostać z nami? – Zaklął cicho. – Tracy, tak bardzo się boisz zostać ze mną sama?

– O czym ty mówisz?!

– O tym, co wydarzyło się wczoraj. Myślę, że już trochę za późno martwić się o twoją cnotę... reputację czy jakkolwiek to nazwiesz.

Absurdalne podejrzenie.

– Mylisz się. To nie ma żadnego związku z tym, co się wydarzyło. Absolutnie żadnego.

– To skąd ten pomysł?

Poczuł się urażony?

– Do końca tej akcji nie mają gdzie się podziać. Zapomniałeś, że to ich dom? Jak skończy się kwarantanna, każą im opuścić São João jak wszystkim innym ozdrowieńcom, a oni nie mają tu żadnych krewnych.

Przegarniając włosy, oparł się o ścianę.

– Masz rację. Myślałem...

Nie dokończył, więc się nie dowiedziała, o czym myślał. Niewykluczone, że się przestraszył, że chce wciągnąć go w romans, że chce wrócić do ich wspólnego domu. Nie, to nie ma sensu. Nie wysłał żadnego sygnału, że mu o to chodzi. Jej zdaniem zależało mu jedynie, by ją przelecieć, a ona na to przystała.

Co jej strzeliło do głowy, by go zaprosić do wanny?

No cóż, co się stało, to się nie odstanie. Oboje są dorośli, oboje byli wyposzczeni.

Zwłaszcza ona. Dokładnie mówiąc, od czterech lat. Od rozstania z Benem.

Wczorajsze doznania można tylko porównać do huraganu najwyższej kategorii.

– Możemy zawiesić jakąś zasłonkę. – Spojrzała mu w oczy. – Mogą z nami zostać? Przez jakiś czas?

– Oczywiście – odparł cicho, ale sprawiał wrażenie nieobecnego. – Zapytam generała, czy da się coś dla nich zrobić.

– Dziękuję. – Pocałowała go w policzek, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Przepraszam, że Daniel tak cię zaskoczył. Zapytał o to, a mnie nic innego nie przyszło do głowy. Miałam nadzieję, że zdążę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

– Jeżeli doszło do nieporozumienia, to ktoś musi Daniela wyprowadzić z błędu.

– Tak, wiem. – Westchnęła. – Dajmy sobie kilka dni, okej? Poczekajmy, aż nabiorą więcej sił i na rozwój sytuacji. Może przygarnie ich ktoś ze wsi.

– Z tym może być problem. – Dotknął jej ręki. – Przyszedłem cię ostrzec, że na coś się zanoszą.

Znieruchomiała.

– Wojsko?

– Tak. Byłem rano na odprawie. – Zaciśnięła wargi. – To złe wiadomości, a wbrew temu co myślisz, moja opinia nie zawsze jest brana pod uwagę.

– Co się szykuje? – Skóra jej ścierpła.

Słyszała wiele złego o zakulisowych poczynaniach żandarmerii. Wielu z wojskowych to porządni ludzie, ojcowie rodzin, ale byli wśród nich i tacy, którzy bez skrupowania żądali łapówek. Inni wdawali się w interesy z mafią narkotykową. W fawelach kwitł handel narkotykami

i panoszyły się uzbrojone gangi blokujące ulice, więc policja rzadko tam zaglądała. Tylko skorumpowane psy mogły tam bez ryzyka wejść i swobodnie wyjść.

– Na razie ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły. Trwają rozmowy z władzami stanowymi.

Przypomniawszy jej się bezradnie skulony Daniel na szpitalnym krześle.

– Kiedy Daniel powiedział, że nie mają gdzie się podziać, pomyślałam, że chodzi mu o kilka dni. Ale i on, i ty odebraliście moją propozycję tak samo. Że to na dłuższą metę.

– Tak.

– Dlaczego? Ben, co tu się stanie?

Mocniej zacisnął palce na jej dłoni.

– Pamiętasz, jak powiedziałem, że zakończą kwarantannę za tydzień? Że jak nie będzie nowych zachorowań, my i personel medyczny oraz wojskowy będziemy mogli opuścić São João?

– Tak, pamiętam.

– Rozglądałaś się ostatnio po wsi? Widziałaś tych, którzy przeżyli?

Zastanowiła się. Usłyszała od pewnej młodej kobiety, że jej mąż pakuje cały dobytek. Pomyślała, że pewnie chcą wyjechać na jakiś czas, by zapomnieć o tym horrorze. Ale jeśli z innego powodu?

– Wiem o jednej rodzinie, która szykuje się do wyjazdu. To znaczy, że wojskowi zamierzają znieść kwarantannę dla wszystkich.

– Owszem, taki jest plan. Ale to nie jedna rodzina przygotowuje się do przeprowadzki. Całe miasteczko się pakuje. Sklepikarze zabijają witryny deskami, ludzie w pośpiechu zbierają czereśnie.

Tak, rzuciły jej się w oczy kosze z czereśniami.

– To znaczy, że wszyscy wyjadą? Zabiją deskami całe miasteczko? – Jeśli tak, to co stanie się z rodzeństwem?

– Nie, São João dos Rios nie będzie stało zabite deskami.

– To co się stanie?

Westchnął.

– Wojsko zamierza je zniszczyć. Raz na zawsze.

– Zniszczyć? Jak?

– Tak jak ciała zmarłych na dzumę. Spalić. Zostanie tylko popiół i zgliszcza.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zawsze chciał założyć rodzinę, ale nie w ten sposób. Nie czymś kosztem. A już na pewno nie kosztem całego miasteczka.

Stał pod ścianą, gdy Tracy pomagała Danielowi zamocować jeden koniec hamaka do kraty w oknie. Zaofiarował pomoc, ale go zbyła, mówiąc, że Daniel musi się czymś zająć. Ona pewnie też.

Widział jej przerażenie, gdy ją poinformował o planach wojskowych. Oboje zetknęli się z takimi metodami. Takie rzeczy działy się nie tylko w Brazylii. W przypadku tak groźnej epidemii takie same kroki podjęto by nawet w Stanach. Dla dobra całej populacji.

Jego zdaniem tym razem nie było to konieczne, ale w tak biednym regionie jak Piauí najłatwiejsze. São João dos Rios leży z dala od utartych szlaków, więc bardzo kosztowne byłoby dla wojska okresowe kontrole, zwłaszcza że do tej pory nie zidentyfikowano źródła infekcji. Gdyby dżuma wybuchła ponownie, mogłaby objąć Teresinę, stolicę stanu, gdzie mieszkają setki tysięcy ludzi.

Dowództwo obawia się przecieków do mediów. Hm, informacja, że wojsko spaliło całe miasteczko, nie spotka się z aprobatą, dlatego stara się to przeprowadzić spokojnie i bez rozgłosu. Potem poinformuje się o zapomogach przyznanych tym, którzy po kwarantannie zgodzili się opuścić São João dos Rios.

Gdyby udało się ludzi przesiedlić, nim miasteczko spłonie, nikt by o tym nie wiedział – oprócz niego oraz kilku innych osób. Być może wtajemniczenie Tracy nie było zřejmym posunięciem, ale nie mógł inaczej, zważywszy ich historię oraz jej nieufność wobec wojska. Gdyby to zachował dla siebie, miałaby kolejny powód, by go nienawidzić.

Dla niego byłyby to tylko spalone budynki, ale wiedział, że Tracy patrzyłaby na to inaczej. On okiem badacza, ona – emocjonalnie.

W tej samej chwili Daniel, który próbował wskoczyć na hamak, by sprawdzić jego wytrzymałość, źle obliczył odległość i spadł na ziemię. Ben błyskawicznie podał mu rękę.

– Ostrożnie. Musisz nabrać więcej sił, żeby robić takie sztuki. Poza tym przez dziesięć dni leżałeś na łóżku, więc musisz od nowa nauczyć się spać w hamaku.

– Czuję się już tak dobrze, że o tym zapomniałem – odparł chłopiec, masując bok. Rozejrzał się po izbie. – Gdzie będzie spała Cleo?

– Drugi hamak zawiesimy nad twoim, a że jesteś wyższy, będziesz spał na górze.

– Nie wpadłam na to – odezwała się Tracy, nie kryjąc uznania.

Ben się uśmiechnął.

– Mogę ciebie umieścić na górze, ale... – Urwał świadom, że Tracy zrozumie tę aluzję.

Z wypiekami na policzkach odwróciła się, by przestawić przenośny wiatrak.

– Żeby nie wlatywały komary, bo wszystkie siatki zabrał szpital.

– W domu nie mieliśmy siatek – rzekł Daniel.

Siostra Tracy zmarła na gorączkę krwotoczną, więc Tracy była bardziej wyczulona na zabezpieczanie okien niż większość Brazylijczyków. Nie należało mieć jej tego za złe.

Przypomniał sobie, jak pewnego dnia nad ich łóżem małżeńskim zawiesiła moskitierę. Mimo że jej motywacja nie miała nic wspólnego z erotyką, taki namiot z mleczej mgiełki podniecił go bardziej niż cokolwiek innego. Tej nocy zaszła w ciążę.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, poczerwieniała jeszcze mocniej. Nie zapomniała tych nocy. Dobrze, że to wspomnienie wywołuje na jej wargach uśmiech.

Ale co się stanie z tymi dziećmi, gdy miasteczko zostanie spalone? Stary, lepiej myśl o czym innym, bo na to nie masz żadnego wpływu.

„Tracy powiedziała, że jak wyzdrowiejemy, to możemy z wami zostać”. Gdyby to było takie proste!

A nie jest? Najwyraźniej tamta „kąpiel” trwale zaburzyła jego procesy myślowe. Wydaje mu się, że może wziąć do siebie czyjeś dzieci?

Tracy i Daniel nadal rozmawiali o moskitierach.

– Tracy, przepraszam – wtrącił się. – My też nie mieliśmy siatek. To nie jest pora występowania dengi.

– Wiem.

Wydawało mu się, że chciała powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymała ze względu na obecność Daniela. Teraz, gdy chłopiec wyszedł ze szpitala, szansa na szczerze zwierzenia przepadła bezpowrotnie. On też chciałby z nią porozmawiać o... o różnych sprawach.

Może nawet przeprosić za swoje postępowanie w przeszłości.

– Pozwolą mi zobaczyć się z Cleo?

Ku ich zdziwieniu Daniel szybciej nabierał sił niż jego siostra, która miała pozostać w szpitalu jeszcze parę dni. Na ile znał Tracy, spędzi całą noc w fotelu przy jej łóżku, na wypadek gdyby dziewczynka się przestraszyła, tuż obok nie widząc brata.

Tracy spojrzała na zegarek.

– Dlaczego nie? Dopiero siódma. Mamy jeszcze trzy godziny.

Poprzedniego dnia bez uprzedzenia wprowadzono godzinę policyjną. Rzekomo by zapobiec grabieżom, ale zapewne chodziło o to, by ludzie się z sobą nie komunikowali. Ale po co zapobiegać grabieżom w miasteczku, które ma zostać spalone?

To nie ma sensu. Chyba tylko tyle, że łatwiej mieć oko na ludzi za dnia, a wprowadzając godzinę policyjną, można ich kontrolować także po zmroku.

– Jeszcze w czymś wam pomóc? – zapytał nieśmiało Daniel.

– Nie, ale wróć przed dziesiątą. Powiedz Cleo, że niedługo do niej przyjdę. Przed spaniem zjemy kolację, okej? Musisz nabierać sił.

Byłaby wspaniałą matką, pomyślał Ben z bolącym sercem, gdyby nie to, że cały czas poświęca pracy.

Ale i on nie ma z czego być dumny. Tym bardziej powinien z nią porozmawiać, spróbować się pogodzić.

Zerknęła na wychodzącego Daniela, ciągle wstrząśnięta tym, co usłyszała od Bena. Łudziła się, że ktoś w São João dos Rios ich przygarnie, ale jeśli wszyscy zostaną przesiedleni do różnych miejscowości, rodzeństwo może skończyć w slumsach, sierocińcu... albo jeszcze gorzej.

– Ben, co się stanie z tymi dziećmi? – Związała włosy w koński ogon.

– Nie wiem. – Wyjął z małej lodówki dwie butelki.

– Dzięki. Nie ma nic lepszego niż lodowata woda.

– Jak myślisz, ile go nie będzie?

– Daniela? – Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. – Pewnie długo. Dlaczego pytasz?

– Bo pomyślałem, że moglibyśmy się zastanowić nad ich przyszłością.

– Co możemy zrobić?

– Nie mam pojęcia. – Podrapał się w głowę. – Może wyjeżdżając, mógłby zabrać ich ktoś z tutejszych.

– Też mi to przyszło do głowy, ale nie widzę, jak. Większość z nich zamieszka u krewnych, dopóki nie staną na własnych nogach. Dwie więcej gęby do wykarmienia? Ben, to są bardzo biedni ludzie. Stracili wszystko i nie będą sobie zawracali dwójką sierot.

Mogłaby je porzucić? Potrafiłaby spojrzeć im w oczy, wzruszyć ramionami, wsiąść do samochodu Bena i odjechać?

Przedłużającą się ciszę przerwał Ben.

– Od kiedy Daniel opacznie zrozumiał twoje słowa, chodzi mi po głowie pewna myśl.

– Naprawdę? Co?

Nim odpowiedział, do izby wpadł Daniel. Błady jak płótno.

– Chodźcie, proszę. Cleo źle się czuje, bardzo źle.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Prawie trzydzieści osiem – stwierdził Ben, spoglądając na termometr. – Nic dziwnego, że źle się czuje.

Do tego bardzo wysoki poziom cukru.

– Od czasu do czasu narzekała na ból głowy, ale myślałam, że to z powodu dżumy. Nie wiedziałam, dlaczego. Myślisz, że to cukrzyca?

– Nie wiem. – Popatrzył na Pedra, który stał w nogach łóżka i który wysłał po nich Daniela.

– Czy ktoś zwrócił uwagę, jak pachnie jej oddech?

Owocowy zapach z ust jest jednym z objawów cukrzycy. Ktoś z nich powinien to zauważyć.

Tracy się nastroszyła.

– Ben, od dziesięciu dni zmagamy się z dżumą. Nie zajmujemy się niczym innym.

– Nikogo nie krytykuję, tylko pytam. Poproś tu Daniela. – Na czas badania wyproszono go z pokoju. – Czy twoja siostra choruje na cukrzycę?

– Cukrzycę? Od tego, na co chorowaliśmy?

Jasne, że chłopak nie ma pojęcia o cukrzycy oraz jej skutkach, tym bardziej że opieka medyczna w tym regionie pozostawia wiele do życzenia.

– Czy dżuma może mieć wpływ na poziom cukru? – zapytała Tracy.

– Nie można tego wykluczyć. Poważna choroba może zaburzyć funkcjonowanie wszystkich narządów. Miejmy nadzieję, że to chwilowe wahnięcie, ale na razie trzeba jej podać insulinę i monitorować poziom glukozy.

– A jeżeli ta zmiana nie jest chwilowa?

– Po kolei. Jeżeli glukoza się nie ustabilizuje, trzeba będzie przewieźć Cleo tam, gdzie zostanie porządnie zdiagnozowana i poddana stosownemu leczeniu.

– Szpital w Teresinie ma bardzo dobrą opinię.

Zapisując coś w notesie, nawet na nią nie spojrział.

– Ona nie mieszka w Teresinie – mruknął.

– Ona nigdzie nie mieszka. – Niestety zapomniała, że Daniel ich słyszy.

– Myślałem, że będziemy mieszkać z wami!

Rzuciła Benowi przestraszone spojrzenie.

– Jeszcze dopinamy szczegóły – odparł, ratując ją z opresji.

Boże, jeżeli mała ma cukrzycę, nikt w São João, kto zechciałby ich przygarnąć, nie ma środków na pokrycie kosztów leczenia. Mogłaby wziąć ich do siebie, ale sama nie wie, co się z nią jutro stanie. Musi coś zrobić z wynikami badań, na przykład porozmawiać z lekarzem o swoich szansach. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bliższa była radykalnego rozwiązania. Takiego, które przyniesie jej spokój.

Mogłaby też porozmawiać z Benem, wyjaśnić mu, co ją czeka. I poprosić, by to on wziął Daniela i Cleo, przynajmniej na jakiś czas. Dopóki się nie dowiedzą, co jest z dziewczynką. A jeśli Ben odmówi?

Jednego była pewna: nie opuści Cleo. Najpierw musi zrobić wszystko, żeby mała trafiła w dobre ręce.

Podali Cleo insulinę, a potem monitorowali ją przez dwie godziny, dopóki poziom cukru nie zaczął spadać. Jakiś czas przed godziną policyjną Tracy poprosiła Bena, by poszedł z nią do kantyny na kawę. Przy Cleo zostawili Pedra i Daniela.

Z kubkami z kawą usiedli przy jednym ze stołów.

– Myślisz, że poziom cukru spadnie, gdy poprawi się jej stan ogólny?

– Mam nadzieję.

– Ben... To, co powiedział Daniel... – Odetchnęła głęboko, po czym wyrzuciła z siebie: –
Może ty byś ich zabrał?

– Dokład mam ich zabrać? O ile wiem, nie mają żadnych krewnych.

– Nie, pytam, czy mógłbyś ich wziąć do siebie. Na jakiś czas. Zapewnić Cleo leczenie. Nie na stałe.

Przez kilka sekund tępo się w nią wpatrywał.

– Słucham?

Nie miała wyjścia, jak drążyć dalej.

– Zawsze mówiłeś, że chcesz mieć dzieci. To idealne rozwiązanie. Nawet nie musiałbyś mieć żony, żeby ci je urodziła.

– Niepotrzebna mi żona do... rodzenia. – Groźnie ściągnął brwi. – Tym dla ciebie była ciąża? Uważałaś, że jesteś dla mnie klaczą rozplodową? A dziecko to niewygodna, którą należy znosić?

– Och, Ben, to nie tak. Pragnęłam tego dziecka tak samo jak ty. – Oplotła palcami kubek. – Tak się złożyło... Teraz to nieważne.

– Co się złożyło?

– Nie o tym chcę rozmawiać, ale o tym, jak pomóc tym dzieciakom.

– I prosisz mnie, żebym to ja się nimi zajął, tak? – sapnął poirytowany. – Co z nimi będzie, jak wyjdę do pracy? Cleo nie może sama monitorować poziomu cukru.

– Daniel ma dwanaście lat i wykazał się ogromnym poczuciem odpowiedzialności. Jeżeli to cukrzyca, to on Cleo pomoże – brnęła dalej. – Chyba widzisz, jacy oni są grzeczni. Mogliby...

– W głowie mi się nie mieści, że mnie tym obarczysz. Jeżeli tak bardzo ci na nich zależy, to dlaczego sama ich nie weźmiesz?

Może to nielogiczne, ale jeżeli podda się operacji, to kto się nimi zajmie podczas jej rekonwalescencji? To się nie kończy na usunięciu obu piersi. Jest jeszcze rekonstrukcja, a to trwa, wymaga hospitalizacji, potem jeszcze trzeba dojść do siebie.

Fizycznie i psychicznie.

Postanowiła zdobyć się na odrobinę szczerości.

– Ben, nie mogę ich wziąć. Gdybym mogła, ani chwili bym się nie wahała. Wbrew statystykom pokonali śmiertelną chorobę, więc uważam, że nie można oddać ich na pastwę opieki społecznej.

– To zabrzmiało jak wyrok.

– Teresina to biedne miasto. Wiem, jak wyglądają tam sierocińce. Nie zapominaj, że pomagałam leczyć dzieci w takich placówkach.

– Przejdźmy się. – Wstał od stołu. – Lepiej, żeby Daniel nie zobaczył, jak spieramy się o jego los.

Decyzja teraz przez niego podjęta zaważy na ich przyszłości. Ben zagwarantuje Cleo leczenie. Nawet w wariantcie tymczasowym stabilizacja poziomu cukru we krwi może zabrać sporo czasu.

– Nawet nie chcesz rozważyć takiej możliwości?

– Tracy, nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć. Muszę to przemyśleć, ale byłoby mi łatwiej, gdybym się dowiedział, dlaczego tak kategorycznie się bronisz przed tym, żeby ich wziąć do siebie.

– Często jestem w podróży. Moja praca...

– Przestań. Dobrze wiesz, co o tym myślę. Poza tym ja też pracuję. Podobnie jak miliony rodziców na całym świecie. Ale większość z nich choćby deklaruje, że chce spędzać trochę czasu z małżonkiem i dziećmi.

Tak mnie widzi? – pomyślała wstrząśnięta.

– Chciałam spędzać z tobą czas – rzekła cicho.

Należało już dawno temu wyznaczyć mu prawdę, ale gdy nasłał na nią żandarmerię akurat wtedy, gdy zastanawiała się, jak mu powiedzieć o wynikach badania, poczuła się urażona. I bardzo zła. Zła na niego, zła z powodu śmierci matki, zła, że jej przyszłość może wyglądać inaczej, niż sobie wyobrażała.

Obróciła ten gniew przeciwko niemu, racjonalizując sobie, że po tym, co zrobił, nie zasługuje na to, by poznać prawdę. Wmawiała sobie, że ma w nosie, co Ben myśli albo że ocenia ją przez pryzmat własnego dzieciństwa. Opuszczony przez rodziców, opuszczony przez żonę.

– Okej, jak ty nie możesz ich wziąć, znajdę kogoś innego.

– Kogo?

– Może Pedra.

– Poprosisz swojego pomocnika, żeby zajął się dwójką dzieci, którymi sama nie chcesz się opiekować?

– To nie jest tak, że ja nie chcę... – Zbierało się jej na płacz. – Często się zastanawiam, jak wyglądałoby nasze dziecko i... Być może wezmę ich na jakiś czas, a potem się zastanowię, co dalej. – Przygryzła wargę.

Ben przystanął, więc i ona się zatrzymała. Odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy, po czym ujął ją pod brodę.

– Nie mówiłem, że ich nie wezmę. Powiedziałem, że muszę to przemyśleć. Daj mi parę dni, dobrze? Jak ty to robisz? – Pogładził ją po policzku.

– Jak co robię?

– Wrabiasz mnie w szalone pomysły.

– Wcale nie.

– Nie? – Skubnął ją w ucho. – A kto mnie namówił, żebym wszedł do wanny?

Hm, tak, zaprosiła go.

– Może to nie moja wina, tylko tego klimatu. Gorąco pada człowiekowi na mózg.

– Nic z tych rzeczy. To przez ciebie. To ty mącisz mi w głowie.

W dobrą stronę czy złą? Oby w dobrą. Że chociaż złamała mu serce, wspomina ich związek z czułością.

Pocałował ją w policzek.

– Wiesz co? Niech Daniel i Cleo zamieszkają w naszym domu. Na jakiś czas, dopóki Cleo nie wydobrzeje, a my nie znajdziemy dla nich czegoś innego.

Przesłyszała się? Zajrzała mu w oczy.

– Weźmiesz ich?

– Chyba nie usłyszałaś, że powiedziałem „my”.

– Jak mam to rozumieć?

– Sam tego nie zrobię. Jeżeli Cleo nie uda się ustabilizować i okaże się, że to pełnoobjawowa cukrzyca, trzeba będzie wozić ją do specjalistów. Na początku na pewno będzie wymagała stałego monitorowania.

– Daniel...

– Tak, Daniel jest bardzo odpowiedzialny, ale to jeszcze dziecko. Opłakuje śmierć matki. Uważam, że nie fair byłoby obarczać go opieką nad siostrą.

– Zgoda.

– To oznacza, że będziemy dzielić się obowiązkami. Ty i ja. – Uśmiechnął się chytrze. – Dopóki nie znajdziemy innego rozwiązania, musisz wrócić do Teresiny. Ze mną.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Jak to?

Spodziewał się ataku wściekłości, ale nie przewidział, że w jej oczach dostrzeże bezmierny smutek.

– To nie takie trudne – dodał ostrożnie. – Możesz się przeprowadzić na pół roku, może nawet dłużej, żeby im pomóc przez pierwszy rok w szkole. Będziesz bliżej Amazonki, a pływający szpital Projeto Vida ma bazę w Manaus.

Przystanęła.

– Ben, to... niemożliwe.

O co jej chodzi?!

– Dlaczego? Jeżeli wspomnisz o swoich „podróżach”, nie dobijemy interesu. Tak samo jak ty chcesz, żeby Cleo miała najlepszych lekarzy, ale musisz mi powiedzieć, dlaczego nie możesz poświęcić jednego roku, żeby jej to zagwarantować.

Oparła się o pień potężnego mangowca.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nie mogę spędzić roku w Teresinie? I dlaczego tyle podróżowałam, będąc w ciąży?

– Tak. – Patrzył jej w oczy, nie zważając na wzbierające w nich łzy.

– Bo jestem nosicielką mutacji genu BRCA1. I nie wiem, kiedy ani nawet czy się odezwie.

– BRCA1... – Przez moment miał pustkę w głowie. – Jeden z markerów raka piersi?

W sekundę zasypała go cała lawina informacji. Matka Tracy i jej babcia zmarły na raka piersi. Tracy poddała się badaniu DNA?

– Kiedy się o tym dowiedziałas?

– Jakiś czas temu. Po śmierci mamy.

Nagle doznał olśnienia. Tempo, jakie sobie narzuciła i ten jej chłód mniej więcej na miesiąc przed tym, jak go zostawiła...

– Kiedy byłaś w ciąży, tak?

Przytaknęła.

– Zrobiłaś badania genetyczne, nic mi nie mówiąc?

– Nie chciałam cię martwić. A kiedy wynik okazał się pozytywny... – Potrząsnęła głową. – Zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć, ale zanim to zrobiłam, nasłałeś na mnie wojsko. Byłam na ciebie zła. A potem poroniłam.

Na samo wspomnienie tego dnia aż się w nim zagotowało. Dziesięć dni temu w laboratorium zarzucała mu, że kiedyś knuł za jej plecami, ale sama włóczyła się po całym kraju, trzymając dla siebie taką tajemnicę!

No nie. Są granice...

– Przyznaję, że knułem za twoimi plecami i wiem, że źle zrobiłem. Ale jak to się ma do tego, co ty zrobiłaś? Za moimi plecami poddałaś się badaniom genetycznym, żeby wykryć gen, który mógł zaważyć na twoim życiu, na przyszłości naszego małżeństwa. Jak mogłaś trzymać to w tajemnicy?!

– Ben, przepraszam. – Oplotła palcami jego dłonie zaciśnięte w pięści. – Na początku po prostu się bałam, przede wszystkim o dziecko, bo gdyby to była dziewczynka, to ten gen przeszedłby na nią. Potem bałam się o nasze małżeństwo. Nie chciałam... żebyś się nade mną litował.

– Wierz mi, to, co czuję w tej chwili, jest dalekie od litości. – Pierwsze miejsce zajmował

gniew, złość, że Tracy cierpiała w milczeniu, że nie ufała mu na tyle, by się tym z nim podzielić.

– Teraz wiem, że chyba powinnam była ci o tym powiedzieć.

– Chyba? Ty mówisz „chyba”?!

– Okej, należało ci powiedzieć – poprawiła się.

– Tracy, byliśmy małżeństwem. Zespołem. Ja o sobie mówiłem ci wszystko, nie miałem przed tobą żadnych tajemnic.

– Tak, ale gdybyś się zastanowił...

– Nie muszę się zastanawiać.

Chciał odejść, ale go zatrzymała.

– Ben, postaraj się mnie zrozumieć. Mama umarła pół roku po naszym ślubie, zaszłam w ciążę wcześniej, niż planowaliśmy, więc zaczęłam się martwić. Zgłosiłam się na badanie pod wpływem chwili, żeby nie mieć głupich myśli. Nie spodziewałam się takiego wyniku.

– I zatrzymałaś go dla siebie.

– Tak.

Nagle poczuł się śmiertelnie znużony.

– To wyjaśnia wszystko.

I nic. Miliony kobiet stają wobec takich decyzji i większość z nich nie ukrywa tego przed bliskimi. Ale na domiar złego Tracy stanęła również wobec straty dziecka, nie wspominając o tym, co poczytywała mu za zdradę.

Objął ją i mocno przytulił.

– Ben, przepraszam – powtórzyła.

Nie odpowiedział, dopóki nie opuściły go złe emocje. Nic nie zmieni przeszłości. Tracy już dawno podjęła decyzję, teraz pora na niego. Co zrobić z tą nową wiedzą?

– I dlatego nie chcesz wziąć do siebie dzieci.

– Tak.

Szukał odpowiednich słów, ale czuł się zagubiony. Może tak samo jak Tracy, gdy się dowiedziała, że jest nosicielką mutacji BRCA1?

Odsunął ją na odległość ramienia, by spojrzeć jej w oczy. Płakała.

– Tracy, to nie jest wyrok śmierci. – Otarł kciukiem łzy. – To, że nosisz ten gen, wcale nie znaczy, że musisz zachorować.

– Mama i siostra zachorowały.

– Tak, ale w wiedzy siła. Musisz być czujna.

– Mogę profilaktycznie brać leki.

– Tamoksyfen? – Przeczytał gdzieś, że w dzisiejszych czasach chemoterapię można stosować profilaktycznie, by zapobiec rozwojowi komórek rakowych. Podobnie jak antybiotyki, które podali osobom narażonym na kontakt z dżumą w São João. Wszystko w nadziei, że lek zabije komórki rakowe, zanim się rozwiną i zaczną namnażać.

– Są kobiety, które się na to decydują.

– Ale nie ty.

– Nie, nie ja. – Oblizła wargi. – Zastanawiam się nad profilaktycznym zabiegiem chirurgicznym.

– Operacja... – Dopiero teraz do niego dotarło, o czym Tracy mówi. – Rozważasz profilaktyczną amputację piersi? – Mimo woli opuścił wzrok na jej biust.

– Tak, o tym mówię. Nie wiem jeszcze kiedy, ale niedawno do mnie dotarło, że jeżeli mogę temu zapobiec, to to zrobię.

Cholera. Przypomniał sobie, jak niedawno pieścił jej piersi w prowizorycznej wannie.

O czym wtedy myślała? Nawet wtedy słowem nie pisnęła. Być może starała się zapamiętać tamte

doznania.

Spokojnie, stary. Powiedziała, że nie życzyła sobie, by się nad nią litował. No cóż, musi to wziąć na klatę. W ostatecznym rozrachunku Tracy ma rację i do niej należy decyzja. On zaś może się z nią nie zgadzać, protestować albo z kolei zachęcać, ale to nie on będzie narażony na konsekwencje.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, z czym musiała się konfrontować. Dziwiło go, że nie zdecydowała się na operację zaraz po tym, jak się rozstali.

Postanowił milczeć i podjąć inny wątek, ale nim stało się to możliwe, Tracy się odezwała:

– Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałam się zgodzić. Zamierzałam po powrocie do São Paulo skonsultować się z lekarzem.

– Tracy, nie spiesz się. W tej chwili nie powinniśmy podejmować żadnych pochopnych decyzji. – Odgarnął jej za ucho kosmyk włosów. – Będę szczery. Obawiam się, że sam nie mogę podjąć się leczenia Cleo. To byłoby nie w porządku wobec niej i Daniela. Często wyjeżdżam, czasami na kilka dni.

– Jak ja kiedyś.

– Różnica polega na tym, że w domu nie czeka na mnie partnerka albo dzieci.

– A na mnie ktoś czekał. – Westchnęła.

– Tracy, daj mi pół roku, rok, a zajmę się nimi. Nie proszę, żebyśmy odnawiali przysięgę małżeńską ani żebyśmy znowu byli razem. Musimy dla tych dzieciaków działać jak... partnerzy, dopóki Cleo nie wyzdrowieje i dopóki nie znajdziemy dla nich lepszego miejsca. Daj mi kilka dni do namysłu, okej?

– Masz to jak w banku. Ale nie zapominaj, że czas nagli. Przed São João zaledwie tylko tydzień. Potem Cleo i wszyscy zostaną stąd wywiezieni.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Insulina jest błogosławieństwem i zarazem przekleństwem. Błogosławieństwem, bo po pierwszej dawce stan Cleo poprawił się niemal natychmiast. Przekleństwem, bo być może do końca życia dziewczynka będzie na nią skazana.

To wyjaśniało, dlaczego jej organizm dłużej walczył z dżumą niż organizm brata.

Insulina zrobiła swoje. Na tyle, że dziewczynka była w stanie przejść z miasteczka na polanę, towarzysząc Danielowi, Benowi i Tracy. Jak rodzina.

Tracy ze ściśniętym sercem spoglądała na cementowe płyty za drewnianym płotem.

– Czy ja jeszcze zobaczę mamusię? – zapytała drżącym głosem Cleo.

– Myślę, że tak, skarbie, ale dopiero po tym, jak będziesz żyła długo i zdrowo.

Tracy była gotowa zrobić wszystko, by tak się stało. Nawet na jakiś czas zamieszkać w Teresinie.

Ben przystanął pod drzewem. W jednej ręce trzymał sporej wielkości płaski kamień, w drugiej młotek i dłuto.

– Dobre miejsce? – zapytał.

– Piękne – odparła Tracy. – Podoba się wam?

Cleo przytaknęła, ale Daniel milczał, spoglądając w lewo. Nie odzywał się, odkąd Cleo zapytała, czy ich mama będzie miała płytę nagrobną jak dziadkowie.

– Smutno ci? – zapytała dziewczynka, biorąc brata za rękę.

Daniel pokręcił głową.

– Wolałbym tam.

Ach, to dlatego spoglądał na miejsce, gdzie znajdowały się groby dziadków. Chciał, żeby ich matka spoczęła obok swoich rodziców.

– Pójdziemy tam?

Bez słowa przeszedł kilkanaście metrów do miejsca, gdzie stała przekrzywiona kamienna płyta.

Ben odłożył narzędzia, by ją wyprostować. Napis głosił, że tu spoczywają Louisa i Jorge Silva. Louisa przeżyła męża o piętnaście lat. W odróżnieniu od innych grobów ten był zadbane. Zapewne dzięki matce Cleo i Daniela. Wręcz wypadało, by jej grób znalazł się tuż obok.

– Idealne miejsce – stwierdziła Tracy, a Daniel tylko przytaknął.

Ben ukląkł na ziemi, po czym przystąpił do wykuwania w kamieniu imienia i nazwiska ich matki. Pierwsze uderzenie młotka zabrzmiało jak strzał, aż Cleo wtuliła się w Tracy. Przez kilkanaście minut rozbrzmiewała kadencja śmierci... i nadziei.

Mimo że pot zalewał mu oczy, Ben wykuwał literę po literze, aż na kamieniu pojawiło się pełne nazwisko Marii Eugénii da Silva Costa oraz daty jej narodzin i śmierci

Wówczas Cleo uklękła obok niego i razem ustawili kamień oraz krzyż, kładąc przed nim wiązanek kwiatów.

– Może byś coś powiedział? – zaproponowała Tracy.

– Dawno nie byłem w kościele. – Otarł rękawem pot z czoła.

– Na pewno coś wymyślisz.

– Okej. – Jedną rękę położył na ramieniu Cleo, drugą przywołał Daniela. Chłopiec się ociągał, jakby nie był pewien, czy chce stanąć oko w oko z rzeczywistością. Tracy dokładnie wiedziała, co on czuje.

Ben zaczął mówić:

– Wspominamy dzisiaj Marię Eugênię, dziękując ci, Boże, że dałeś jej życie. Dziękujemy za wspaniałe dzieci, które urodziła i wychowała. – Spojrzał na Tracy. – Niech ten kamień każdemu o niej przypomina, niech świadczy o tym, jak była ważna i kochana. Żeby pamięć o niej nie zginęła.

Cleo cicho płakała, Daniel ani drgnął, a między nimi klęczał Ben. Boże...

Nie pora na łzy. Nie o nią tu chodzi, ale o te dzieci. O to, by je przeprowadzić przez najgorszy dla nich czas, by pomóc Cleo w walce z chorobą.

Podeszła do Daniela, by go przytulić, a potem przyklękła przed Cleo, żeby ją pocieszyć.

Nagle stało się dla niej oczywiste, że nie powinna zwlekać z decyzją ani jednego dnia. Jakie znaczenie ma pół roku albo rok, jeśli można odmienić życie Daniela i Cleo na zawsze? Czy nie po to tu jest? Mimo że zapewne będzie jej piekielnie trudno widywać Bena dzień w dzień, pojedzie do Teresiny. Pomoże polepszyć los tych dzieci, by mogły prawidłowo rozwijać się i uczyć, by Cleo dostała szansę na długie i zdrowe życie.

Ben po raz ostatni omiółł wzrokiem pusty pokój szpitalny. Wojskowe auta kolejno opuszczały São João dos Rios, pozostawiając tylko jeden oddział, który miał wykonać rozkaz generała Gutierrez. Ben został dłużej, by dopilnować, żeby ostatni ozdrowieńcy spakowali się i wyjechali.

Widząc, co Ben zrobił dla matki Daniela i Cleo, kilkanaście osób w różnych miejscach na cmentarzu postawiło podobne kamienie dla swoich zmarłych. Ben wymusił na generale obietnicę, że to miejsce pozostanie nienaruszone.

São João dos Rios stało się miastem widmem.

Wkrótce jego żona wróci do ich wspólnego domu z „przychówkiem”. Nie był pewien, dlaczego tak nagle się zgodziła. Nie zapomniał jednak, że gdy w czwórkę klęczeli przed grobem Marii Eugêinii, spojrzała na niego i kiwnęła głową.

– Teresina? – zapytał bezgłośnie.

Przytaknęła. Na jej twarzy malował się jedynie smutek i determinacja. Nawet zaczął się zastanawiać, czy słusznie ją o to poprosił. Ale żadną miarą w pojedynkę nie poradziłby sobie z dwójką dzieci.

W tej chwili Tracy, Cleo i Daniel obchodzili dom, zbierając najcenniejsze rodzinne pamiątki. Każdy z przedmiotów Tracy konsultowała z przydzielonym przez generała żołnierzem, który był człowiekiem rozsądnym, ale bardzo poważnie traktował swoje zadanie. Nie mógł pozwolić, by śmiertcionośny patogen wymknął się z miasteczka.

Wszystkie ubrania oraz pościel należało wygotować, zapakować do skrzyń i otrzymać stosowną pieczęć. Ludzie stali kilka dni w kolejce, by oddać rzeczy do dezynfekcji.

Kątem oka Ben zauważył Pedra, który podążał w kierunku domu. Ben nawet nie wiedział, że pomocnik Tracy nie opuścił São João. Pewnie idzie się ze mną pożegnać, pomyślał. Odwrócił się, by pójść za nim, ale w tej samej chwili naprzeciw Pedrowi wyszła Tracy. Pomocnik coś powiedział, a ona tylko wzruszyła ramionami, ale gdy położył jej dłonie na ramionach, Ben się najeżył i ruszył dowiedzieć się, o co chodzi.

Najpierw dotarły do niego słowa Pedra.

– Nie żartuj. Projeto Vida to twój żywioł. Nie możesz go porzucić. Co będzie z pływającym szpitalem?

Jej odpowiedzi Ben nie usłyszał, więc przyspieszył kroku.

– Ktoś inny może się nimi zająć.

– Pedro, oni nie mają nikogo. Ja to muszę zrobić. Do mojego powrotu ty i reszta zespołu sobie poradzicie.

Do jej powrotu.

Na widok Bena Pedro opuścił ręce, ale nie zamilkł.

– Ile to potrwa?

– Pół roku, może rok. – Zerknęła za siebie. – Mów ciszej. Nie rozmawialiśmy z nimi o ramach czasowych.

– Nie możesz ich zabrać do São Paulo?

– Dobrze wiesz, że nie mogę. To by było ze szkodą dla nich i dla was. Pracujemy o różnych godzinach i rzadko spędzamy w biurze cały tydzień, bo stale jesteśmy w rozjazdach.

Ben poczuł, że żołądek ściska mu się coraz mocniej. Miał cichą nadzieję, że nie tak to będzie wyglądało w Teresinie; że Tracy będzie aktywnie uczestniczyć w opiece nad Cleo, że nie będzie nieobecny rodzicem.

– Problemy? – Ze sztucznym uśmiechem zwrócił się do Tracy.

– Nie. Omawiamy pewne sprawy związane z prowadzeniem biura.

Inaczej to odebrał.

Tracy uścisnęła Pedra.

– Będzie dobrze. Zadzwoń, jak już będziesz na miejscu. Kiedy wyjedziemy na drogę, powinnam już mieć zasięg.

– A propos dróg. – Ben nie spuszczał wzroku z Pedra. – Jedziemy w tym samym kierunku, podwieźć cię?

– Nie. Zgłosiłem się do pomocy przy akcji sprzątnia, a potem z kimś zabiorę się na lotnisko.

– Mówiłeś, że strach patrzeć na tych żołnierzy – zauważyła Tracy z uśmiechem.

– Jak się ich lepiej pozna, wcale nie są tacy straszni. A ci inni... tylko trochę.

Aha. Ben się domyślił, do kogo ta aluzja, ale z biegiem lat jego skóra stawała się coraz grubsza. Mało co go ruszało. No, może poza przygodą w wannie.

I łzami Tracy, gdy odkrywała przed nim swoją największą tajemnicę. Tak, to go poruszyło do głębi.

Pedro, zrozumiał, że Tracy nie wraca do São Paulo, odwrócił się i odszedł.

Być może powinienem pozwolić Tracy odejść, pomyślał Ben. Ale to go przerastało. Jeszcze nie teraz.

Ma na głowie dwoje dzieci. I nie jest wykluczone, że pewnego dnia uwierzy, że był to faktyczny powód.

– Gdzie są łóżka? – zapytał Daniel, przystając pośrodku swojego nowego pokoju.

– Tutaj, pod ścianą – odparł Ben.

Dopiero teraz się połapał, skąd to pytanie. Daniel zapewne nigdy nie spał na prawdziwym materacu. W szpitalu wojskowym były składane łóżka polowe z brezentu, a w większości domów w miasteczku spało się w hamakach. Ben nie miał nic przeciwko hamakom. A seks w hamaku...

Lepiej nie wspominać czasów, kiedy podczas licznych podróży spali z Tracy w hamakach.

– Na tym się śpi – wyjaśnił Ben, siadając na łóżku.

– Ale to nie wisi. Nie jest na tym za gorąco?

Słuszna uwaga.

– Dlatego mamy wiatrak pod sufitem. Ma różne prędkości.

– Hm, no nie wiem... – mruknął z powątpiewaniem Daniel.

Ben się uśmiechnął.

– Coś ci powiem, Daniel. Pośpij na tym przez tydzień. Jak ci się nie spodoba, kupimy hamak.

– Mój i Cleo utkała nasza mama.

Ben ze ściśniętym gardłem pokiwał głową. Z obawy przed zawleczeniem dżumy poza São

João dos Rios wojsko już wszystko spaliło, łącznie z hamakami Daniela i Cleo.

– Wiem i żałuję, że nie mogliśmy ich zabrać, ale nie było jak ich zdezynfekować.

Udało się wysterylizować kilka fartuchów Marii Eugêнии oraz ręczników, ale nie hamaków.

– Rozumiem, ale dlaczego tu jest tylko jedno łóżko?

W dawnym domu rodzeństwo mieszkało w jednym pokoju, ale tutaj było ich tyle, że nie było to konieczne. Tylko jak to wytłumaczyć chłopcu, który nigdy nie miał własnego pokoju?

– Cleo ma swoje łóżko w pokoju obok.

Ben starał się spojrzeć na swój dom ich oczami. W Stanach nie byłby postrzegany jako człowiek bogaty, ale dla Daniela i Cleo był bogaczem. W pokojach nawet miał klimatyzatory. O tym jednak nie wspominał, uznając, że dzieci muszą stopniowo oswajać się z nowym otoczeniem.

Wystąpili do lokalnych władz o pozwolenie na zabranie dzieci. Był pewny, że to formalność. Zrobili to z myślą, że być może zgłoszą się po dzieci jacyś dalecy krewni.

Nie bardzo wiedział, co czuje w tej kwestii, bo w ciągu dwóch tygodni bardzo je polubił. Za bardzo.

O czym myślał, zgadzając się na to? I co myślała Tracy, przystając na taki układ?

To pytanie sprawiło, że zrobiło się mu ciepło koło serca. Jakby czytając w jego myślach, w drzwiach stanęła Tracy z Cleo.

– My się zainstalowałyśmy – oznajmiła. – A wy?

Daniel podniósł wzrok na hasło powieszone przez Rosę. Wypisała je, gdy Ben zadzwonił do niej z informacją, że przywiezie z sobą dwójkę dzieci.

„*Bem Vindo, Daniel!*”

Podobne hasło zawisło w pokoju Cleo.

– Myślę, że będzie tu nam dobrze – orzekł Daniel, uśmiechając się po raz pierwszy, odkąd Ben go poznał.

– Ja też tak myślę.

Tracy dotknęła jego ręki.

– Dziękuję – szepnęła.

Było to najpiękniejsze słowo, jakie kiedykolwiek usłyszał.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Mam dla was niespodziankę. Na dworze.

Niespodzianka. Lepsze to niż nieodparta chęć zajrzenia do sypialni, którą kiedyś dzieliła z Benem, a która teraz ją przyzywała niezależnie od tego, w której części domu się znalazła.

Rzuciła Rosie pytające spojrzenie, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

Gospośnia nie okazała zdziwienia, że Tracy wróciła do domu. Na powitanie wyściskała ją, po czym, otarłszy łzy rogiem fartucha, serdecznie przytuliła dzieci.

– Niespodzianka? – zapytała Cleo. – Jaka?

Tracy popatrzyła zdumiona na Bena. Niespodzianka? Dopiero przyjechali, a dzieci nawet nie zdążyły się rozejrzeć.

– Kupiłem zbiornik na wodę – oznajmił Ben po angielsku – żeby go przerobić na prowizoryczny basen. Można też wkopać go w ziemię, żeby było łatwiej do niego wejść. Zamówiłem go, jak zgodziłaś się wrócić do Teresiny.

– To ten z São João dos Rios? – zapytała, czerwieniejąc. Oby nie.

– Nie, większy. Powinien wytrzymać dłużej. Nie stać mnie na basen z prawdziwego zdarzenia, ale myślę, że dzieciaki pomogą w jego utrzymaniu. Poza tym będą miały gdzie przyjmować nowych kolegów.

– Ben, to świetny pomysł! – Wolała nie myśleć, co się stanie z basenem, gdy ich drogi się rozejdą.

Przerzuciwszy się na portugalski, wyjaśniła zdziwionym dzieciakom:

– Nie mogę wyjawić, o czym rozmawialiśmy, bo zepsułabym niespodziankę.

Gdy Ben otworzył drzwi, jej oczom ukazał się sporych rozmiarów owalny zbiornik na wodę. Daniel omiótł go spojrzeniem, ale nadal szukał niespodzianki.

Ogromny, pomyślała Tracy. Na kilka tysięcy litrów. W Brazylii podobne zbiorniki różnej pojemności stoją na dachach wszystkich budynków.

Cleo, podobnie jak brat, była zdezorientowana.

– Gdzie ta niespodzianka?

No cóż, dla nich zbiornik na wodę to po prostu zbiornik na wodę. Inne jego zastosowania nie przychodziły im do głowy. Ben położył dłoń na krawędzi zbiornika.

– To jest to.

Zawód malujący się na twarzach dzieci rozbawił Tracy.

– Uważacie, że to słaba niespodzianka?

Cleo przytaknęła.

– W porządku – mruknął Daniel. – Pewnie musiałeś wymienić stary.

– O nie, nie zamontujemy go na dachu. – Gestem zaprosił ich bliżej. Do jednej z krawędzi przyklejono zdjęcie z roześmianą rodziną barszkującą w basenie.

– Zrobimy z niego basen – poinformował ich Ben.

– Basen? – Oczy Cleo zrobiły się okrągłe. – Będziemy mieli basen?

– Tak, przerobimy ten zbiornik na basen. Ale musicie mi pomóc, a potem dbać, żeby był czysty.

– Super! – Chłopiec radykalnie zmienił zdanie na temat zbiornika. – Woda będzie mi sięgała aż do brody.

– Ale będziesz musiał pilnować siostry, bo jest niższa. Lepiej, żebyście pod nieobecność dorosłych do niego nie wchodzili. Zamontuję pokrywę, żeby go zamykać, jak nie będzie używany.

Tracy przeczuwała, że to nie koniec niespodzianek.

– Cleo, za zbiornikiem stoi karton. Zajrzyj do niego.

Po chwili usłyszeli jej uradowany pisk:

– Nadmuchiwany materac! Jak na zdjęciu. I drugi!

– O wszystkim pomyślałeś – szepnęła Tracy.

– Nie, nie o wszystkim. – Ton jego głosu sprawił, że ponownie przeniosła na niego wzrok.

– Nie rozumiem.

– Chyba rozumiesz, ale to nieważne. – Ruszył w kierunku dzieci, po czym wraz z nimi obszedł działkę, by wybrać najlepsze miejsce na basen. Ostatecznie postanowili ustawić zbiornik pod rozłożystym drzewem.

Potem dzieci pobiegły dalej eksplorować działkę, a Tracy i Ben zostali sami.

Spoglądała na niego ciepło i promiennie jak dawniej, kiedy nieoczekiwanie przynosił jej kwiaty albo zabierał na długi spacer. Kurczę, stęsknił się za tym spojrzeniem. Wyciągnął do niej rękę, z zapartym tchem czekając, czy ją przyjmie. Udało się.

– Podoba ci się?

– Tak.

Z westchnieniem rozluźnił uścisk. Pod koniec małżeństwa nie miał pojęcia, co dzieje się w jej głowie. I chyba nie chciał się wtedy tego dowiedzieć. Niewykluczone, że pogłębiłoby to dzielącą ich przepaść.

– Pójdę do kuchni pomóc Rosie. – Wspiąwszy się na palcach, musnęła go wargami. –

Dzieci są zachwycone tą niespodzianką, to widać. Dziękuję. – Uśmiechnęła się.

Kochał ten uśmiech. Mógłby ją pocałować, ale już raz wszystko zepsuł, więc postanowił nie robić nic, co mogłoby ich cofnąć do złych czasów akurat wtedy, gdy poczuł, że zaczyna się z nią dogadywać. Może z czasem znowu staną się przyjaciółmi.

Na to liczył.

Zbadawszy Cleo, doktor Crista Morena ściągnęła brwi.

– Zdają sobie państwo sprawę, że cukrzyca insulinozależna może wystąpić w każdym wieku? Wiadomo państwu, na co chorowała?

– Tylko tyle, co zaobserwowaliśmy podczas epidemii dżumy – odparł Ben. – Jej poziom glukozy waha się bez wyraźnego powodu, jak wtedy, kiedy była chora.

– Musimy zrobić więcej badań. Dostała insulinę?

– Tak.

Lekarka powiodła po nich wzrokiem.

– Jeżeli to cukrzyca insulinozależna, może to pobudzić komórki trzustki do produkcji niewielkich ilości hormonu, jednak po jakimś czasie przestanie go produkować.

No cóż, cukrzyca Cleo do końca życia musi być pod kontrolą, pomyślał, spoglądając na Tracy. Tak, doszła do tego samego wniosku.

Hm, to ona pierwsza wpadła na pomysł zabrania dzieci z São João dos Rios.

Ale on na to przystał. Poza tym serce mu rosło, gdy patrzył na radość dziewczynki, gdy do niej dotarło, że w zbiorniku na wodę można się kąpać i że będzie miała własny pokój oraz łóżko z różową pościelą. Na nic by nie zamienił tych chwil.

Zeskoczywszy z leżanki, Cleo z ufnością usadowiła się Tracy na kolanach. Na ten widok wzruszenie ścisnęło go za gardło. Czy zrezygnowałaby z podróży, gdyby ich dziecko się urodziło?

Wszystko wskazywało na to, że raczej nie. Na wieść o epidemii w São João dos Rios natychmiast tam wyruszyła, a Pedro wspomniawszy, że tego samego roku odbyli razem sporo podobnych wypraw. Żeby ratować ludzkie życie.

Ale jakim kosztem? Najwyraźniej żadnym.

Doktor Morena podniosła wzrok na Tracy.

– Słyszałam, że jest pani pediatrą. Przydałby się nam drugi pediatra. Byłaby pani zainteresowana?

– Skąd pani wie?

– Od doktora Almeidy, kiedy zapisywał Cleo na wizytę.

Z bijącym sercem czekał na reakcję Tracy.

– Od lat nie praktykowałam. Zajmowałam się bardziej tutejszymi plemionami, więc...

– I tam leczyła pani dzieci, prawda?

– Oczywiście.

Lekarka odłożyła kartę.

– To jest jak jazda na rowerze. Nie zapomniiała pani, jak się leczy maluchy. Ma pani do nich wspaniałe podejście. – Gestem wskazała wtuloną w Tracy Cleo. – Proszę o telefon, gdyby się pani zdecydowała.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jak jazda na rowerze. Te słowa dźwięczały jej w uszach, gdy kilka dni później stanęła w drzwiach swojej dawnej sypialni.

To samo można by powiedzieć o wspólnej kąpieli w São João dos Rios, gdy na powierzchnię trysnęły dawne reakcje i doznania.

Weszła do środka. Na łóżku ta sama beżowa narzuta w prążki. Dziwne, że nie kupił nowej. Upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, położyła się na łóżku. Nikt się nie dowie. Ben jest w pracy, Daniel i Cleo zwiedzają okolice, a Rosa wyszła na zakupy.

Nie będzie leżała długo, tyle tylko, by zaspokoić ciekawość. Jak to jest teraz tu leżeć?

Jak jazda na rowerze.

Przerażające, a jednocześnie cudowne odkrycie.

Brakuje tylko Bena. Gdyby ją tu zobaczył, na pewno by się wściekł. Od przyjazdu do Teresiny utrzymywali kruchy rozejm, więc lepiej nie ryzykować.

Odwróciwszy się na brzuch, wtuliła twarz w poduszkę. Tak, Ben nadal śpi po prawej stronie, bo zapach pozostał, mimo że Rosa starannie wzruszyła poduszkę.

Czuła się jak... podglądacz. Kochali się na tym łóżku setki razy. Wypróbowywali wszystkie pozycje. Ona na górze, on na górze, ona ze skępowanymi ramionami, jego pieszczoty... Na samo to wspomnienie przeszył ją dreszcz. Kurczę, niedobrze. Bardzo niedobrze.

Jak jazda rowerem.

Powinna wstać, ale nie miała siły się na to zdobyć, bo wspomnienie, jak się kochali, okazało się zbyt silne. Leżała wtedy w tej samej pozycji. Naga. I czekała.

Pieszcząc ją, szeptał:

– Nie patrz.

Nawet teraz wsunęła dłonie pod piersi.

– Mmm... tak... Ben... – wyszeptała, zsuwając rękę między uda. – To nie potrwa długo, bo cała płonie. Minutę albo dwie. Rozpięła dżinsy.

Może na wszelki wypadek należy zamknąć drzwi. Odwróciła głowę w ich stronę.

Stał w nich Ben. Boże, słyszał, jak go woła?

– Co ty tu robisz?!

– Mógłbym cię zapytać o to samo, ale widzę. – Nie spuszczał z niej wzroku, wszedł do sypialni.

Drzwi się zamknęły, zgrzytnął zamek.

– Ja tylko... – Odwróciła się na plecy, co było błędem, bo pod bluzką ujawniły się nabrzmiałe piersi.

– Tylko się zdrzemnęłaś, tak? – Uśmiechnął się leniwie. – Chyba to był bardzo przyjemny sen.

– Dlaczego... zamknąłeś drzwi? – Znała odpowiedź.

Chwycił ją za kostki i zsunął na brzeg łóżka.

– Czy to nie oczywiste? Zamierzam dokończyć to, co zaczęłaś.

Wracając wcześniej do domu, by spędzić weekend z nią i dziećmi, nie wiedział, co zastanie, ale nie spodziewał się zastać jej w łóżku... pieszcząc się z twarzą wtuloną w jego poduszkę.

Jednak usłyszawszy swoje imię, od razu wiedział, o kim marzy. O nim. O nich. O tym, jak było kiedyś.

Błyskawicznie był gotowy. Jej spojrzenie płonęło. Pożądała go tak jak on jej. Takiej okazji nie może przegapić.

– Powiedz, że mnie pragniesz – wykrztusił, przesywając ją wzrokiem.

– Nie powinniśmy...

– Możliwe. Ale muszę wiedzieć, czy to mnie sobie wyobrażałaś.

– Tak, ciebie.

Zamknął jej usta wargami, by sobie przypomnieć jej smak, cofnął język, ale tylko na chwilę, czując palące gorąco w zupełnie innej części ciała. Rozpaczliwie tłumił pożądanie, przewidując, że lada chwila okaże się, że pocałunek to za mało. Ona chyba czuła tak samo.

Zawsze tak było. Płomień buchał szybciej i wyżej, niżby chcieli, prowadząc ich ku temu, co nieuchronne. I zawsze za szybko.

Odsunął się.

– Najpierw bluzka. Chcę cię widzieć.

Bez słowa ściągnęła ją tak wdzięcznym ruchem, że zapragnął natychmiast zedrzeć z niej resztę ubrań, ale zdawał sobie sprawę, że lepiej będzie, jak jeszcze przez kilka minut jej nie dotknie.

– Teraz stanik.

– Poproś.

Droczyła się z nim, ale w tej chwili był skłonny powiedzieć wszystko, co Tracy zechce.

– Proszę.

Rozpięła haftki z przodu i strząsnęła biustonosz z ramion. Oniemiał z zachwytu. Boże, jak on jej pożąda!

– Dotknij ich jak wtedy, kiedy tu wszedłem. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Proszę.

Gdy spłonęła rumieńcem, przestraszył się, że mu ucieknie, ale ona zaczęła delikatnie je gładzić. Podniecała go jak żadna inna. Pochylił się, wsunął dłonie w jej włosy i pocałował ją tak, jakby nadchodził koniec świata.

– Nie przestawaj – polecił, podnosząc się.

Gdy cicho jęknęła, zadrżał.

– Gdzie dzieci?

– Na dworze. Rosa pojechała na zakupy.

– Aha, to dlatego tu weszłaś. – Wsunął się między jej nogi. – Myślałaś, że nikt cię nie zaskoczy.

– Nie... nie miałam zamiaru.

– Ale jak już się położyłaś, to ci się przypomniało, tak? To, co tu robiliśmy. Wyobrażałaś sobie, że tu jestem... o, tak.

– Ben...

– Cii... Nic nie mów. Jesteśmy sami i oboje tego chcemy. – Gdy dotknął paska jej dzinsów, przygryzła wargę.

– Zrób to – błagała szeptem.

– Niedługo. – Zdjął z niej dzinsy. – Nie będę zwlekał ani sekundy.

– Dzieci...

– Zobaczą, że drzwi są zamknięte. – Uśmiechnął się. – A ty śpisz, bo jesteś zmęczona.

Nadeszła chwila prawdy. Zaciśnął zęby, rozpaczliwie starając się nad sobą zapanować. Na próżno. Nic nie było w stanie powstrzymać zsuwającej się lawiny.

Z sercem bijącym jak szalone opadł na łóżko, przytulając ją. Nadeszła chwila prawdy. Tracy robi unik? Czy zaakceptuje to, co się stało?

Odczekał minutę, by ochłonać.

– Było tak dobrze, jak sobie wyobrażałaś?

– Lepiej. – Jej cichy śmiech był jak miód na jego serce. – Ale wyobrażałam sobie ciebie w ubraniu.

– Musimy nad tym popracować.

– Uhm. – Westchnęła. – Zaraz wróci któreś z nich. Do domu.

Dom. Tak ona to widzi? Czy znowu wyjedzie przy najbliższej nadarzającej się okazji?

Muszę stąpać ostrożnie, pomyślał, bo dla niej to jedynie rozwiązanie tymczasowe. Gdyby nie dzieci, nawet by jej tu nie było. To, że nie oczekiwała, że będą spali razem, mówiło samo za siebie. Nie miała w planach powrotu do dawnego układu mimo tego, co się wydarzyło w prowizorycznej wannie w São João. Ani tego, jak dobrze było jej kiedyś w tym łóżku.

A było dobrze. Cieszyło go, że pieściła się na jego, na ich, łóżku oraz jej wyznanie że myślała wtedy o nim. Nie o Pedrze ani o innym bezimiennym facecie.

Okej, nie przesadzaj z tą radością. Przestań bujać w obłokach, bo mało prawdopodobne, by Tracy zmieniła zdanie w kwestii pozostania z tobą aż do śmierci.

Z każdym dniem czuł, niestety, że coraz bardziej mu na tym zależy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tracy nabierała insulinę do strzykawki.

Był to dziesiąty z kolei zastrzyk, ale poziom glukozy Cleo stale się zmieniał. Trudno było przewidzieć, czy w końcu trzustka znowu zacznie sama produkować hormon.

– To boli – jęknęła dziewczynka.

– Wiem, zawsze będzie bolało. Czasami trzeba być odważnym i znosić to, co dla nas dobre. Nawet jeśli boli.

Jak jej ucieczka z Teresiny cztery lata temu? Bo nic nie było aż tak bolesne – to i poronienie. Z Teresiny wyгнаły ją gniew, rozpacz i szok. Gdyby Ben nie zrobił wtedy tego, co zrobił, może by wytrzymała i spróbowała coś naprawić. Ale jego zdrada była ostatnią kroplą, która przelała czarę... Jej świat legł w gruzach. A teraz?

Nie wspominali o tym, co się stało dwa dni temu. Do tej pory się wstydziła, że przyłapał ją w swoim łóżku, ale konsekwencje przerosły jej najśmielsze oczekiwania. Był arogancki i piekielnie seksowny, stojąc w nogach łóżka i rozkazując jej, by się pieściła.

Gdyby nie to, że drzwi wejściowe skrzypnęły, zaczęliby od nowa, ale na ten odgłos pospiesznie zaczęli się ubierać. Chichocząc, wyszli z sypialni na powitanie Rosie obładowanej zakupami.

Ben szybciej niż ona zdobył się na nonszalancję. Doskoczył do Rosy, odebrał od niej siatki, a potem pomagał w kuchni poustawiać zakupy. Ale to, jak płomienne rzucał Tracy spojrzenia, mówiło, że wolałby być z nią w łóżku. Zrobiło się jej gorąco.

Podwinęła nogawkę szortów Cleo.

– Gotowa?

– T...tak.

Dziewczynka wstrzymała oddech i ani pisnęła, gdy Tracy ją ukuła.

– Będziesz pracowała z doktor Moreno?

O, zapamiętała rozmowę w gabinecie lekarki. Tracy do tej pory nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Podobnie Benowi, gdy do tego niedawno nawiązał.

Od tamtej pory nie spali razem, ale Ben zaczął całować ją w policzek przed wyjściem do pracy. Powinna się wyprowadzić już po pierwszym razie, ale tego poranka przyłapała się na tym, że nadstawia policzek. Jeszcze chwila, a zaczną całować się w usta.

Nie najlepszy pomysł.

Nigdy się nie oszukiwała, że go nie kocha. Nieprawda, nigdy nie przestała udawać. Była na niego zła po incydencie z żółtą febrą i musiała się zastanowić, jak pokierować swoim życiem. Ale zabrało jej to za dużo czasu, a ukrywanie choroby stało się drugą naturą. I wydawało się łatwiejsze niż powrót do Teresiny, żeby wyznać prawdę.

Przez cztery lata się do niej nie odezwał, nie poprosił, by zmieniła zdanie. Prawdę mówiąc, nie wyobrażała sobie, by potrafił się na to zdobyć. Jest silny i ma stoickie podejście do rzeczywistości. Żeby radzić sobie w dzieciństwie, musiał być samowystarczalny, bo stale nieobecni rodzice by mu nie pomogli.

Na nią też nie mógł wtedy liczyć.

Ale teraz już wie dlaczego. Czy to wszystkiego nie zmienia? Czy znakiem tego nie są te całusy? Łudziła się, że tak, ale nie wiedziała na pewno. Za mało miał czasu, by to przemyśleć, ale jeśli już przemyśli, to co będzie czuł?

Nagle zdała sobie sprawę, że stoi przed szafką z lekami, a Cleo przygląda się jej

zaniepokojona. Ups! Pytała o współpracę z doktor Moreno.

– Chciałabyś, żebym u niej pracowała?

Cleo zsunęła się z taboretu.

– Czy to znaczy, że u was zostaniemy?

– Zostaw to nam – odparła, by nie budzić w dziecku zbyt wielkich nadziei. Pocałowała ją w czoło. – Wiedz, że was kochamy.

Miał już wejść do środka, gdy usłyszał przeraźliwy wrzask dobiegający z domu. Rzucił teczkę i zawołał Tracy, ale odpowiedziała mu cisza. Skóra mu ścierpła. Już to ćwiczył. Tego dnia, kiedy Tracy go rzuciła.

Ale wtedy nikt nie krzyczał.

Ruszył na patio, a tam w basenie kotłowały się trzy ciała. Wszystkie żywe.

Najwyraźniej przybył w trakcie poważnej bitwy morskiej, bo kąpiący się byli uzbrojeni w pistolety na wodę. Podszedł bliżej, co okazało się poważnym błędem, bo w jego stronę skierowały się trzy pistolety.

– *Atire-nele!* – wrzasnął Daniel.

Kilka sekund później jego garnitur ociekał wodą, a koszula przylepiła się do ciała.

– Hej! Wystarczy!

Nikt go nie posłuchał, ale odziana w bikini Tracy, rzuciwszy mu powłóczyście spojrzenie, pierwsza wystrzelała się z amunicji. W tej samej chwili, kiedy zanurzyła pistolet, by go napełnić, wskoczył do zbiornika i przytrzymał jej rękę. Zapiszczała, gdy ją objął, wciągając pod wodę. Niewidoczny dla dzieci, wycisnął na jej wargach pocałunek.

– Tak nie wolno! – Parsknęła śmiechem, wynurzając się i plując wodą.

Odgarnął włosy z twarzy.

– A strzelać do mnie wodą wolno?

– Widziałeś nasze pistolety. Uznaliśmy, że takie ostrzeżenie ci wystarczy.

Stał, ociekając wodą, a jego eleganckie buty leżały na dnie zbiornika. Już do niczego.

Ale nie zamieniłby tej sceny na żadną inną. O tym marzył od zawsze. Z tą różnicą, że w marzeniach u jego boku stała Tracy. Przez chwilę żałował, że tak nie będzie. Ale teraz Tracy była na wyciągnięcie ręki. Aż go świerbiło, by pociągnąć za troczek bikini i zobaczyć, co się stanie. Niestety nie byli sami.

– Aha, zastawiliście na mnie pułapkę!

Daniel wycelował w niego i wystrzelił. Prosto w oko.

– Auu!

Tracy zaniósła się śmiechem. Kiedy po raz ostatni słyszał ten niepohamowany śmiech? Dawno, dawno temu.

Jej pistolet leżał na dnie zbiornika. Zanurkował po niego i wystawiając tylko głowę, go napełnił, po czym zaatakował. Tym razem Tracy trzymała się z dala od linii ognia, starannie poprawiając bikini. Na sekundę go to rozproszyło, co dzieci skrupulatnie wykorzystały.

Spojrzał na żonę spode łba.

– Tak nie wolno – mruknął.

– Och, jest takie porzekadło, że wszystkie chwytaki są dozwolone na wojnie i w... – Jej uśmiech zgasł.

Kazał dzieciom wstrzymać ostrzał, po czym objął ją w talii.

– Nie spieszmy się, okej? Żadnych oczekiwań – szepnął jej na ucho.

– Ben, tak mi przykro – powiedziała z bladym uśmiechem.

– Nie trzeba. – Pocałował ją w policzek. – Ale uważam, że jesteś mi winna nowe buty.

– Masz to jak w banku. – Oparła się o brzeg zbiornika. – To był fantastyczny pomysł.

Oszaleli z radości. Chyba zapiszę Cleo na lekcje pływania. Wyobraź sobie, że ona nie umie pływać! – mówiła po angielsku, by dzieci nie zrozumiały.

– Racja. Jeżeli ten basen ma tu stać przez cały rok, to konieczne. A Daniel?

– Uczyli go w szkole, ale nie miał gdzie trenować. Jemu też przydałoby się nabrać większej wprawy.

– Słusznie. – Oparł się obok niej. W porównaniu z jego czarnymi spodniami jej nogi wyglądały blado.

– Posmarowałaś się filtrem ochronnym?

– Tak, sześćdziesiątką. Dzieci też.

Dotknął jej nosa, który mimo emulsji był lekko zaróżowiony.

– Jak długo siedzieliście w wodzie?

– Około godziny. Wcześniej spisywaliśmy potrawy, które gotowała ich mama, więc uznałam, że potem powinny trochę się rozerwać. Żeby wspomnienia z nią związane nie kojarzyły się zawsze ze smutkiem.

– Roztropnie. – Zastanawiał się, czy zadać jej pytanie, które od paru dni go nurtowało. Ale rzadko udawało mu się wybrać właściwy moment, więc może jeszcze nie teraz. – Słuchaj, chciałem cię o coś zapytać. Tamtej nocy...

– Myślę, że to nie jest odpowiednia chwila.

– Nie mamy zbyt wiele okazji być sam na sam. – Czy to przypadek, czy nie, wie tylko ona.

– Powiem to angielsku. Nie masz za złe...?

– Za złe?

– To, jak cię...?

Nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Nie był też do końca pewien, czy pyta o nią, czy o nich.

Pokręciła głową.

– Zdecydowanie nie.

– Bo zachowujesz się trochę dziwnie.

– Cała ta sytuacja jest trochę dziwna. – Westchnęła. – Nigdy bym nie podejrzewała, że przyjdzie mi wrócić do Teresiny.

– Żałujesz, że wróciłaś?

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego draży ten temat, ale czuł, że nie wie, czego się trzymać.

– Nie. Ale wieczorem zamierzałam ci o czymś powiedzieć. Rozmawiałam z lekarzem, który na poniedziałek umówił mnie z chirurgiem.

Znieruchomiał pod naporem pytań, które zaczęły mu się kłębić w głowie. Nieznacznym gestem wskazała na Daniela i Cleo, którzy ich obserwowali, starając się odgadnąć, o czym rozmawiają.

– Okej, pogadamy wieczorem.

– Dzięki. – Przeszła na portugalski. – Czy wojsko nadal nas obserwuje?

Wcześniej wspomniał, że od ich powrotu do Teresiny na szpitalnym parkingu stoi nieoznakowany samochód. Nie rozpoznał go, ale zauważył, że za kierownicą siedzi zawsze ten sam człowiek. „Albo wojsko, albo terroryści”, dodał z ironicznym uśmiechem. Ci ostatni rzadko się pokazywali w Brazylii.

– Od dwóch dni go nie ma, więc jeśli to robota generała Gutierrez, zapewne uznano, że nie robimy nic ciekawego. – Wykrzywił twarz w tak zabawnym grymasie, że dzieci wybuchnęły śmiechem.

– To by znaczyło, że słabo znają doktora Almeidę, bo on jest nieprzewidywalny – zauważyła Tracy.

Jej lekki ton go ucieszył mimo wcześniejszej wzmianki o wizycie u chirurga. Z urażoną miną przyłożył dłoń do piersi, mrugając do dzieci.

– Uważacie, że jestem nudny, prawda?

Cleo zachichotała.

– Danielu, a ty co o mnie myślisz?

– Jesteś okej. Nudny w normie.

– A nie mówiłam? – Tracy posłała Benowi triumfujące spojrzenie.

Te przekomarzanki sprawiły, że odetchnął z ulgą. Przyjemnie było nareszcie poczuć, że stoi się na twardym gruncie, zamiast miotać się od ściany do ściany.

Przynajmniej dzisiaj. Poniedziałek może wyglądać całkiem inaczej.

Zapukał do jej drzwi koło północy. Spodziewała się, że przyjdzie do niej, kiedy w pobliżu nie będzie dzieci. Ale nie przewidziała, że zamknąwszy za sobą drzwi, porwie ją w ramiona i zacznie namiętnie całować.

Potem się kochali jak nigdy w życiu.

– Cokolwiek się wydarzy w poniedziałek, przyjmujemy to razem, okej? – zapytał jakiś czas później.

Wahała się.

– Chcesz ze mną pojechać?

– Mogę?

Miała do wyboru albo go dopuścić, albo odizolować.

– A co z twoją pracą?

– Mogę się zwolnić na parę godzin. – Bawił się kosmykiem jej włosów.

– Okej. – Uff. Dlaczego to robi na mnie takie wrażenie? – Nie podejmę żadnej konkretnej decyzji, dopóki nie będziemy mieli cukrzycy Cleo pod kontrolą, ale muszę się dowiedzieć, na czym stoję. Zaniedbałam badania, więc muszę to nadrobić.

– Dlaczego akurat teraz?

– Nie wiem. Może po prostu uciekałam od tej decyzji.

Pokiwał głową.

– Gdybym cię poprosił, żebyś spała w naszym dawnym łóżku, zgodzisz się?

– Dzisiaj czy...?

– Nie tylko dzisiaj. Zawsze.

Niesamowite przejście od tematu wizyty lekarskiej do propozycji, by ich małżeństwo znowu stało się związkim z prawdziwego zdarzenia. Chyba o to ją poprosił.

– Domyślam się, że mówiąc o spaniu, nie masz na myśli leżenia z zamkniętymi oczami.

Uśmiechnął się.

– Jestem na sto procent pewien, że zamykanie oczu wchodzi w rachubę na długo przed zaśnięciem.

Przechyliła głowę, udając, że się zastanawia.

– Hm... Nie wiem. Chrapiesz?

– Interesujące pytanie. Od czasu do czasu wydobywają się ze mnie jakieś odgłosy, ale nie wiem, czy można to nazwać chrapaniem.

– Chyba je sobie przypominam. Podobały mi się.

– Naprawdę? Teraz? – Powiódł palcem po jej szyi.

– Uhm.

Pocałował ją w szyję.

– Mnie też się podobają twoje pomruki.

– Cieszę się, bo jak nie przestaniesz, będą o wiele... Och... – Wstrzymała oddech, gdy

przywarł wargami do zgięcia jej szyi.

– Powiedz, że chcesz – wyszeptał.

– Chcę. – Nie była pewna, na co się zgadza, ale w tej chwili nie było to ważne. Niczego nie będzie przed nim ukrywać. Poza tym ufa mu tak bardzo, że jest pewna, że nie poprosi jej o więcej, niż może mu dać.

– Zgadzasz się spać w moim łóżku?

– Decyzja już zapadła.

– No nie. Pytałaś, czy chrapię.

– Żadnego chrapania. Tylko pomruki. – Scałowywał jej te słowa z ust, aż w końcu zaniemówiła.

Nie szkodzi, bo już straciła zdolność racjonalnego myślenia, splatając palce na jego szyi.

Była gotowa oddać mu się całkowicie na tak długo, jak długo będzie jej pożądał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jeszcze zaspany wyciągnął ramię i stwierdził, że obok niego nie ma Tracy. Gdy usłyszał jej przytłumiony głos, oprzytomniał błyskawicznie.

– Ale w poniedziałek mam wizytę u lekarza. – Chwila ciszy. – Może bym mogła. To nic pilnego.

Zorientował się, że Tracy jest w łazience.

Nie zamierzał podsłuchiwać, ale coś w jej głosie mówiło, że nie chce, by ktoś usłyszał tę rozmowę.

– Nie chcę wyjeżdżać na długo. Cleo trzeba ustawić insulinę.

Podszedł do drzwi.

– Pedro, nie wyjadę w tej sekundzie. Nie, wiem. Rosa na pewno chętnie ich popilnuje, jak Ben będzie w pracy. Opiekowała się nim pod nieobecność jego rodziców. Nauczę ją, jak podawać Cleo insulinę.

Rosa chętnie ich popilnuje.

Gorące wspomnienie minionej nocy nagle wyparowało. Dlaczego Rosa ma się zająć dziećmi? Albo robić Cleo zastrzyki? Chyba że Tracy chce wyjechać.

Dlaczego rozmawia z Pedrem w łazience? Chce coś ukryć przed nim? Nie pierwszy raz.

Są w Teresinie niecały tydzień, a ona już gdzieś się wybiera? Zagotowało się w nim. Nie, drugi raz na to nie pozwoli. Pchnął drzwi łazienki.

– Pedro, zaczekaj chwilę.

Zasłoniła dłonią słuchawkę, gdy Ben powiedział:

– Wyjeżdżasz.

Przygryzła wargę.

– Tylko na kilka dni. Statek medyczny dopłynął do zalanej przez powódź wioski. Już jest pięć przypadków cholery i zanosi się na dużo więcej, bo wszyscy piją wodę z jednego skażonego źródła.

– Wyślij tam kogoś innego – powiedział lodowatym tonem. – Niech Pedro jedzie.

– Ben, on nie jest lekarzem, a ja jestem. Matt już go wezwał, ale obawiają się...

– Nie jesteś jedynym lekarzem w całej Brazylii. Tutaj masz obowiązki.

– Rosa może...

– Rosa wychowała mnie i mojego brata. Te dzieciaki potrzebują stałej obecności, nie wolno ich komuś podrzucać za każdym razem, kiedy twój pomocnik ma katar.

– Tylko ten jeden raz.

Zamknął na chwilę oczy, kurczowo zaciskając palce na klamce. Odetchnął głęboko.

– Stawiam sprawę jasno. Albo wyślesz tam kogoś innego i zaczniemy myśleć o wspólnej przyszłości, albo wystąpię o rozwód, nawet jeśli będę w tym celu musiał lecieć do Nowego Jorku.

Zbladła.

– A... a Daniel i Cleo? Powiedziałaś, że sam sobie nie poradzisz.

– Chyba nie mam wyboru. Obiecałem coś i dotrzymam obietnicy. Poza tym już kilka razy ćwiczyłem ten kołowrót. Jestem pewien, że i tym razem to udźwignę. – Zamykając drzwi, dodał: – Jak skończysz rozmawiać, powiedz mi, co postanowiłaś.

Przyłożyła wilgotny kompres do czoła chorej kobiety. Epidemia zataczała coraz szersze kręgi. W zespole było kilkunastu lekarzy wojskowych, nienasłanych przez jej męża, ale tym razem kopali rowy odprowadzające wodę i stawiali latryny.

Ben nikogo po nią nie oddeleguje, bo nie chce jej znać. Dał jej to wyraźnie do zrozumienia. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego telefon Pedra tak ją zmobilizował. Być może jej instynkt był zaprogramowany do ucieczki na samą myśl o problemach.

Jak wizyta u lekarza? Ciągle ucieka... ciągle musi się przemieszczać i pracować, by czuć, że żyje?

Nie, przy Benie też czuje, że żyje. A ta wyprawa nie daje jej żadnej satysfakcji. To nie to, co kilka lat temu. Tęskni za dziećmi, tęskni za Benem.

Żona Matta przysiadła obok niej na plecionej macie.

– Jak się czujesz?

Stevie dołączyła do Projeto Vida dwa lata wcześniej i pracowała u boku męża. Zabrali też córeczkę, która podczas tego rejsu przebywała wyłącznie na statku. Nie chcieli, by zachorowała.

– Jak wszyscy.

Stevie uważnie się jej przyjrzała.

– Na pewno?

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Przyjechałam pomagać.

– I bardzo się nam przydajesz. – Stevie dotknęła jej ręki. – Co u Bena?

Zadrzała. Plotki roznoszą się lotem błyskawicy.

– Nie mam pojęcia. Nie wracam do Teresiny.

– Przykro mi.

– Mnie też. – Tracy dotknęła ramienia chorej, obiecując, że niedługo ktoś do niej przyjdzie, po czym podniosła się z maty. – Jak wy to robicie? – zapytała.

– Jak co robimy? – zdziwiła się Stevie.

– Że ciągle jesteście małżeństwem, pływając tym statkiem.

– Wierzymy w to, co robimy. – Stevie ściągnęła rękawiczki. Przed szaląsem oparła się o pień drzewa. – Czasami muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Tak, po jakimś czasie zapach choroby stawał się duszący.

– Matt nie był pewny, czy chce wracać do Brazylii po tym, co go tu spotkało. Gdyby wybrał Stany, zostałabym z nim w Stanach. Bo najważniejsze, żebyśmy byli razem.

– Dajesz mi do zrozumienia, że nie powinnam była tu przyjeżdżać.

– Nie. – Stevie uśmiechnęła się łagodnie. – Tylko ty wiesz, co czujesz, co masz w sercu.

– Już sama nie wiem. Moje wyjazdy od samego początku Benowi się nie podobały.

– Na pewno bardzo wtedy tęsknił.

– Możliwe. Ale inne żony wyjeżdżają.

– Tak często jak ty? – Stevie na chwilę zawiesiła głos. – Posłuchaj, co ci serce dyktuje i zdecyduj się, czego chcesz od życia. Dlaczego tak cię ciągnie do tego, co robisz.

Bo niosąc pomoc ciężko chorym, nie musi myśleć o niczym innym?

Dawniej dzień w dzień harowała do upadłego. Wieczorem padała na łóżko i natychmiast zasypiała jak kamień. Ruch równa się życie.

Ale czy to jest prawdziwe życie? Robi to, bo w to wierzy, czy dlatego, że boi się zatrzymać w jednym miejscu, gdzie być może poczułaby się... w potrzasku?

Nie zgłosiła się na wizytę u lekarza. Nie mogłaby zabrać się następnym samolotem?

Okazało się, że wbrew przewidywaniom Pedra z cholerą walczy odpowiednia liczba personelu, nawet gdyby jej tu zabrakło.

Do tej pory żyła jak singielka, bez żadnych zobowiązań. Tak, pracowała dla Projeto Vida, jeszcze zanim poznała Bena. Ale stawiając pracę wyżej niż jego, stale mu pokazywała, że znaczy dla niej niewiele więcej, niż znaczył dla rodziców.

Boże, wszystko zmarnowała. Zmarnowała życie.

Nieustannie zajęta pracą nie tylko ryzykowała zdrowie, ale też straciła z pola widzenia ukochaną osobę.

Być może należy zacząć się wycofywać, przekazać stery organizacji komuś innemu, na przykład Pedrowi, i wrócić do leczenia ludzi w jakiejś klinice. Nie pomoże wprawdzie całym wioskom, ale przecież i tak leczyłaby ludzi.

Która ścieżka jest na dłuższą metę bardziej wartościowa? Może to nie jest kwestia wyboru? Może da się to połączyć? Poza tym jest też dwoje dzieci, które zaufały, że będzie razem z nimi.

– Dzięki. – Przytuliła Stevie. – Chyba nareszcie zrozumiałam, gdzie jest moje miejsce.

– W Teresinie?

Przytaknęła.

– Nie rozumiem, dlaczego stało się to dla mnie oczywiste dopiero teraz?

– Być może „teraz” jest wtedy, kiedy jesteśmy zmuszeni je dostrzec. – Stevie pomachała mężowi, który pracował nieopodal.

Tracy zaś zrobiła to, co powinna była zrobić cztery lata wcześniej: podeszła do najbliższego żołnierza i zapytała, czy jest możliwość następną łodzią wydostać się z Amazonii.

Upił łyk zimnej kawy, po czym bez entuzjazmu pochylił się nad mikroskopem. Nie powinien tu teraz siedzieć. Nie powinien tu przychodzić przez cały tydzień.

Po co wytyczył tę nieprzekraczalną dla niej linię? Być może dlatego, że nigdy nie wybaczył swoim rodzicom braku miłości, gdy był dzieckiem.

Okej, ale teraz jest dorosłym mężczyzną. Powinien puścić w niepamięć dziecięce żale.

Tracy się nie odezwała, a on sobie wyrzucał brak wycucia podczas ich ostatniej rozmowy, to że nie chciał słuchać, co miała mu do powiedzenia.

Nie on jeden cierpiał. Rosa, dowiedziawszy się, że Tracy nie wróci, go zrugła.

– Benjaminie Almeida, wydawało mi się, że wychowałam cię na mądrego faceta. Ale zacznym w to wątpić.

– Nie musiałś mnie wychowywać.

– Źle ci było? Miałeś zmarnowane dzieciństwo?

Zastanowił się. Nie, rodzice potrafiliby wyjechać na kilka miesięcy, ale gdy wracali, pełno było radości... a potem znowu łzy. Za to Rosa była zawsze. Ile dzieci dorasta, nie mając nawet takiej Rosy?

Tak, miał szczęście. Gdyby dał Tracy trochę więcej czasu, zamiast pochopnie wyciągać wnioski z pierwszego telefonu z firmy, być może tym razem lepiej by się znalazł jako małżonek.

Z szuflady biurka wygrzebał starą wizytówkę, którą przechowywał od lat.

Niezdecydowany obracał ją w palcach. Od czasu akcji w São João wiedział, że ten stary numer jest w dalszym ciągu aktualny. W końcu, by nie zmienić zdania, wystukał kolejne cyfry.

Czy ona ma tam zasięg?

Słyszał, że telefon dzwoni, ale jakoś inaczej. Jakby dzwonił w dwóch miejscach naraz. Za kolejnym razem sygnał się nasilił. Ben ściągnął brwi. Halucynacje? Po trzecim sygnale usłyszał głos.

– Halo?

Znieruchomiał, zdawszy sobie sprawę, że ten głos nie dobiega z komórki, ale zza jego pleców. Powoli się odwrócił. I ujrzał uśmiechnięte zielone oczy.

Nie odrywając telefonu od ucha, patrzył na nią z niedowierzaniem. Ona też trzymała komórkę przy uchu.

– Tracy?

– Tak.

Kurczę, mógłby ją porwać w ramiona, ale tego nie zrobił, za to wymówił słowa, które

powtarzał w myślach co najmniej od pół godziny.

– Tęsknię za tobą. Proszę, wróć.

– Ja też się za tobą stęskniłam – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Zaraz będę przy tobie.

– Wyłączyła komórkę i podeszła do niego. Gdy stanęła przed jego fotelem, bez namysłu posadził ją sobie na kolanach.

– Wróciłaś.

– Tak. – Oplotła go ramionami. – I już tu zostanę.

Rok później

Szedł korytarzem Einstein Hospital w São Paulo do wejścia na oddział chirurgii, gdzie w poczekalni siedział już ojciec Tracy. Na powitanie Sam objął zięcia.

– Cieszę się, że tata przyjechał.

– Co z nią?

– Jest na bloku operacyjnym.

Od kiedy wyznali sobie miłość w jego laboratorium, czas płynął szybko. Ten okres upłynął im na badaniach lekarskich Cleo oraz Tracy. Potwierdziły wstępną diagnozę w przypadku Cleo, ale też stwierdzono, że jej cukrzyca jest pod kontrolą.

Mammogram Tracy wykazał pewne zmiany, więc niezależnie, czy był to rak czy nie, zrozumieli, że nadszedł czas decyzji. Podjęli ją wspólnie jeszcze tego samego dnia. Tracy płakała, a Ben ją pocieszał, zapewniając, że nigdy nie przestanie jej kochać.

Usiedli.

– Więc się na to zdecydowała – powiedział Sam.

– Tak. – Ben oparł łokcie na kolanach. – Profilaktycznie.

Sam kiwał głową.

– Gdyby jej matka wiedziała, że jest nosicielką tego genu, jestem pewny, że zrobiłaby to samo. A ja bym ją w tym wspierał. – Przeciągnął dłonią po oczach. Ben udał, że tego nie widzi. – Jak długo to potrwa?

– Dwie do czterech godzin. – Spojrzał na zegarek. – To już trzecia godzina. Niedługo ktoś do nas wyjdzie.

Dwie do czterech godzin. Niby krótko, ale wydawało się tyle co wieczność. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, Ben zaczął przechadzać się po poczekalni, gdy ukazał się mężczyzna w zielonym stroju operacyjnym.

– Pan Almeida?

Ben podszedł bliżej, sekundę później tuż obok stanął ojciec Tracy. Lekarz ściągnął brwi, ale Ben go uspokoił.

– To ojciec Tracy. Przyleciał z Nowego Jorku.

– Operacja przebiegła prawidłowo – odparł lekarz. – Nie znaleźliśmy żadnych guzów, ale na wszelki wypadek wysyłamy wszystko do histopatologa.

– To znaczy, że nie jest chora? – Bena nie interesowały guzy, złośliwe czy nie, ani to, czy coś znaleźli.

– Tak. – Lekarz się zawahał. – Rekonstrukcja nie powinna nastręczać żadnych problemów. Ale na dobrę, dwie zatrzymamy ją na obserwacji. Czy po powrocie do domu będzie miała kogoś, kto jej pomoże?

– Tak – odpowiedzieli unisono Ben i Sam. Wszyscy trzej się uśmiechnęli. – Zapewnimy jej wszelką pomoc. – Ben zdawał sobie sprawę, że dzieci bardzo chciały z nią porozmawiać, ale zostawił je w Teresinie pod skrzydłami Rosy.

– To dobrze – stwierdził chirurg. – Dajcie nam kilka minut, żebyśmy ją przewieźli do pokoju. Ktoś po was przyjdzie. Ale niech to będzie krótkie widzenie, bo pacjentka musi dużo

odpoczywać.

– Dziękuję, dziękuję za wszystko. – Ben uściśnął mu dłoń.

– Powiem panu, że Tracy to wyjątkowa kobieta. Nie wiem, ile o tym rozmawialiście, ale czy się pan zgadza z jej decyzją, czy nie, ona ostatecznie należała do niej. Proszę ją wspierać.

– Oczywiście. – Ben nie planował niczego innego. Będzie ją wspierał do końca swoich dni. Dziękował Bogu, że ma ją z powrotem. – Jeszcze raz z całego serca dziękuję. Idź do niej pierwszy

– zwrócił się do Sama, gdy lekarz znikł w głębi korytarza

– Nie mnie będzie chciała zobaczyć, jak się obudzi. Zdążę.

– Dziękuję, powiem jej, że tu jesteś.

Spać. Myślała tylko o tym, ale coś ciepłego lekko uściśnęło jej dłoń. Ktoś cicho wymówił jej imię.

– Tracy...

Było jej zimno, bardzo zimno.

Coś się na niej położyło? Pled? Skupiła się na powiekach, starając się je unieść. Chciała przyłożyć rękę do piersi, sprawdzić, czy ciągle tam są...

Czuła, że z oczu płyną jej łzy.

– Tracy... – Ciepłe palce splotły się z jej palcami. – Jesteś bezpieczna, a ja jestem przy tobie.

Chciała w to wierzyć, ale bała się, że miniony rok był tylko snem. Na szczęście pod pledem robiło się coraz cieplej.

Bolało ją gardło. To od tej rurki.

Zaraz, jaka rurka? Aha, była operowana. Ben jest tutaj. Obiecał, że będzie przy niej, jak się obudzi.

To dlaczego nie mogła uwierzyć, że to jest jego głos?

Okej, nadeszła chwila prawdy.

Powieki, podnieście się. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powieki się uniosły i zobaczyła go. Swojego męża.

– Ben... – wychrypiała.

– Jestem.

Tak, to Ben. On płacze?

Boże, Ben płacze, bo ona już nie ma biustu. Nie, nie dlatego. Podjęli tę decyzję wspólnie. Znaleźli coś podczas operacji? Chciała spojrzeć po sobie, ale wszystko skrywały pledy. Nic nie boli. Nie usunięto ich?

– Są...?

– Cii, jesteś zdrowa.

Miała mętlik w głowie.

– Dzieci...

– Kilka minut temu rozmawiałem z Rosą. Wszystko w porządku. Tęsknią za tobą.

A ja za tobą.

Przypomniała sobie, że to Ben wypowiedział te słowa, gdy rok temu stanęła w progu jego laboratorium. Nigdy nie zapomni, że prosił ją, by wróciła.

Gdzie jest ból? Chyba powinno boleć po tym, jak chirurg obciął kawał ciała.

– Ja też za nimi się stęskniłam.

– Przyjechał twój tata – dodał Ben, odgarniając jej włosy z czoła. – Pozwolili tylko jednej osobie przyjść do ciebie, a on powiedział, że najpierw będziesz chciała zobaczyć mnie.

– Miał rację.

– Tracy, kocham cię. – Pocałował jej dłoń. – I do końca życia zamierzam pokazywać ci jak

bardzo.

Zamrugła.

– To mi się podoba.

W drzwiach stanęła pielęgniarka.

– Pozwólmy pani Almeida odpocząć – rzekła.

– Pani Almeida – wyszeptła sennie Tracy. Piękne nazwisko.

EPILOG

W Teresinie zanosiło się na kolejny piękny dzień.

Tracy oparła dłonie na barierce werandy, delektując się ciepłem starego drewna.

– Kocham takie poranki – westchnęła.

Właśnie minęło pięć lat od operacji. Ani śladu raka.

Praca pediatry w klinice doktor Moreny dawała jej ogromną satysfakcję. Dwa razy w roku wraz z Benem wyruszali w podróż z biegiem Amazonki, by nieść tamtejszym mieszkańcom pomoc humanitarną. Razem. Dawniej nie byłoby to możliwe.

Znienacka objęła ją para silnych ramion i męska dłoń, wsunawszy się pod białą koszulkę, połaskotała ją w brzuch. Zamruczała, przytulając się do niego mocniej. Z głową na ramieniu męża myślała o szczęściu, jakie ją spotkało.

Był tylko jeden ciemny punkt.

– Brakuje mi Daniela – szepnęła smutno.

Ich adoptowany syn miesiąc wcześniej wyjechał do college'u w Stanach z zamiarem studiowania medycyny, by za jakiś czas wrócić do Brazylii i pomagać ludziom w takich miejscach jak São João dos Rios. Jego matka nie posiadałaby się z dumy.

Całą czwórką kilka razy odwiedzili rodzinne strony Cleo i Daniela. Mimo że zmiecione z powierzchni ziemi miasteczko było świadectwem dramatu, jaki się tam wydarzył, stało się też miejscem radosnym. Miejscem nowych początków.

Na grobie Marii Eugêнии postawili płytę z prawdziwego zdarzenia, ale na wyraźne życzenie Daniela i Cleo kamień z napisem wyrytym przez Bena pozostał na swoim miejscu. Obiecali sobie też, że raz w roku będą tam składali kwiaty.

Cleo, która teraz miała trzynaście lat, była już młodą piękną kobietą, wrażliwą i mądrą ponad wiek. Wkrótce stanie się dorosła i ich opuści, by zacząć żyć na własną rękę.

– Po południu możemy do niego zadzwonić. – Ben pocałował ją w szyję.

– Zaczekajmy, aż Cleo wróci ze szkoły. Trudno uwierzyć, jak ten czas szybko leci.

– Dziękuję Bogu za każdy dzień. – Skubnęła ją w ucho, a ona zadrżała. Jak zawsze.

– Ja też.

Z głębi domu dobiegło ich ciche kwilenie.

– I ktoś jeszcze – powiedziała z westchnieniem.

Ich trzymiesięczna córeczka dawała do zrozumienia, że jest głodna. Mimo że nigdy nie zastąpi im dziecka, które stracili, decyzję o postaraniu się o drugie uznali za słuszną. Tracy potrafiła docenić drugą szansę.

Trochę czasu zajęło jej przekonanie Bena. Prawdę mówiąc, cały rok. Obawiał się, że ciąża może źle wpłynąć na stan jej zdrowia, ale w końcu uległ. I tak, wrzeszcząc i kapiąc, przyszła na świat Grace Elizabeth Almeida.

Gotowa walczyć z całym światem.

– Chodźmy ją nakarmić, zanim nakręci się jeszcze bardziej. – Pocałował ją. – Ale liczyłem, że będziemy mieli chwilę dla siebie. Chociaż raz.

– Ben, nie martw się. Mamy mnóstwo czasu. Całe życie.

Westchnęła uszczęśliwiona. Ma wszystko, czego można oczekiwać od losu. Mimo wszystko zdołali wypracować kompromis, a ona zrozumiała, że do szczęścia prowadzi więcej niż jedna droga, jeśli u jej boku stoi kochany mężczyzna. A trójka dzieci pokazała, że jest więcej niż jeden sposób, by mieć udaną rodzinę.